

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 52.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{10}{22}$ września 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Ewaryst Estkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kilka rysów fotograficznych z Tatrów, dokonanie (z czterema drzeworytami). — Jak się u nas tworzą podania (dokonanie). — Dożynki w Wielkopolsce. — Gospodarz-poeta, według pomysłu L. Kunickiego, dokonanie (z pięciami drzeworytami). — Rebus. — Uwagi ogólne nad stanem małżeńskim, przez Dra Gregorowicza. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Wyjątek z listu do..... w Warszawie. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

OD REDAKCYI.

Pierwszy kwartał Tygodnika Ilustrowanego, (od 1 października 1859 roku, do 1go stycznia 1860 r.), którego przez niejaki czas brakowało, został już powtórnie wydrukowany; życzący więc nabyć, mogą otrzymać go od wydawcy czy to oddzielnie, czy też tom cały z trzech początkowych kwartałów zbroszurowany. Cena zostaje też sama.

Wielu prenumeratorów z prowincyi lub cesarstwa, którzy od 1 października 1859 r. uścili na pocztach lub ponadsyłali do redakcyi opłaty półroczne, z powodu zapomnienia że termin nowej opłaty wypadał nie w połowie 1860 roku, lecz na 1 kwietnia, doznali przerwy w odbieraniu tego pisma. Z tego powodu redakcyja zwraca uwagę tych abonentów, którzy od 1 października r. z. licząc, ponadsyłali opłaty roczne, że termin takowych kończy się nie w grudniu, lecz w bieżącym miesiącu wrześniu, i że wypada na kwartał ostatni r. b. osobno, lub w połączeniu z półroczną albo całoroczną opłatą na przyszłość, nadesłać prenumeratę.

Ewaryst Estkowski.

Ewaryst Estkowski urodził się r. 1820, we wsi Drzązgowie, powiecie średzkim, w Wielkopolsce, z Jana i Katarzyny Estkowskich. Do szóstego roku życia swego wychowywał się pod okiem rodziców, następnie zaś oddany został do szkoły elementarnej, pod dozór wiejskiego nauczyciela w K. pod Krynica.

W czasie obecnym, przy wzrastającej oświacie i coraz głębszym pojmowaniu zawodu nauczycielskiego, znikają owe groźne postacie nauczycieli wiejskich,

ponurych, zatwardziałego serca, żadną lżą nieporuszonych; nie tak łatwo już dziś spotkać się z owym strachem z obwisłymi wąsami, oczyma zapuchłemi, twarzą odętą, z dyscypliną za pasem i z nieznużoną gotowością do wymierzania chłosty. Nauczyciele dzisiejsi wielce różnią się od swoich poprzedników, a jeżeli między nimi znajdują się jeszcze zwolennicy dawnego porządku, to już coraz mniej liczni, a i ci oszczędniej używają środka tak ogólnie zalecanego niegdyś, *bicia dziateczek różgą*.

Pierwszy nauczyciel Estkowskiego był człowiekiem

rzadzają. Przysłowiem ich było: „różgą wszystkiego nauczy“, i ściśle się do tego stosowali. Gdzieindziej, a mianowicie w Niemczech i we Francyi, wynajdywano ułatwienia w nauczaniu, wyznaczano nagrody za podobne prace; u nas pod tym względem najzupełniejsza panowała obojętność i spuszczano się na różgę, jako jedyny środek. Oczywiście że postrach i poniżenie moralne nie mogło budzić pojęcia, rozwijać władz umysłowych młodzieży; ale na to nie uważano: dość żeby dziecko było trwożliwe, potulne i żeby po trzech latach codziennej chłosty umiało czytać, pisać i rachować do sta.

„Od pierwszego dnia pobytu w K...., powiada o sobie Ewaryst Estkowski, miało się zacząć rozdwojenie w życiu mojem, które wiele szkodliwych wpływów na późniejsze dni wywarło, i które trwało aż do wstąpienia do seminaryum nauczycielskiego.“ Pierwsze wrażenia pozostają na zawsze w pamięci i wedle tych kierujemy się mimowolnie; nauka, przykłady późniejsze mogą w inną stronę zwracać przekonanie, czynami jednak w ogóle świadczymy powolność pierwszym wrażeniom. Oburzenie przeciwko niesprawiedliwości doświadczonej w dzieciństwie, obudziło w Estkowskim myśl obalenia tej nieszczęsnej zasady dawnego nauczania za pomocą zgrozy, oraz chęć wynalezienia środka pomagającego pamięci młodocianej tak, ażeby nauka raczej była dla dzieci zabawą, aniżeli trudem. Powziąwszy myśl tę szlachetną, oddał ję się z całą miłością; ję poświęcił wszystkie dni swoje, a jeżeli zadaniu zupełnie nie sprostał, to dlatego jedynie iż mu czasu zabrakło.

Estkowski wydał walkę dawnemu nauczycielstwu, pracy swojej nie skończył, ale doświadczył przynajmniej tęg radości, jaka rzadko komu dostaje się w udziale, iż widział początki zwycięstwa szlachetnej myśli. Kto inny poprowadzi dalej rzecz opuszczoną, jemu przyznaną będzie zasługa, że pierwsze grudy rozbijał.

Szkołki elementarne wiejskie wydały w Polsce dwóch ludzi wybitnie ludowych, kochających wieśniactwo i oddanych mu całą duszą: Brodzińskiego i Estkowskiego. Brodziński, żołnierz, poeta i nauczyciel, miał na sobie więcej charakter kapłański; Estkowski, pisarz i nauczyciel, miał charakter pedagoga z natury; obaj pisarze, obaj nauczyciele.



EWARYST ESTKOWSKI.

moralnym, to jest trzeźwym, pilnym i przyzwoitym, co nie przeszkadzało wcale żeby nie był srogim względem uczniów swoich. Okrucieństwo ludzi staręj szkoły nie pochodziło u nich z serca, ale z przyzwyczajenia i z przekonania, że postępując tak, największą przysługę dzieciom, rodzicom i krajowi wy-

Najulubieńszym też poetą Estkowskiego był Kazimirz Brodziński; pisał o nim często, cytując wiersze popierał zdania swoje, Ignął ku niemu duszą, nie rozbierając kierunku. Nie wyrównał głębokości Kazimirza, ale w miłości wszystkiego co swoje szedł z nim porównano, a w opowiadaniach wiejskich odzwierciedlał tak żywo lud polski, jego podania i zwyczaje, w malowidle przyrody tak przedziwnych umiał dobiierać kolorów, że go w tém sam mistrz nie przerosł.

Po trzech latach pobytu w szkółce elementarnej we wsi K., nie nauczywszy się niczego, otępiał na umyśle, lękliwy i do zmyśleń, jako do jedynej środka przeciwko okrucieństwu nauczycieli, zwyczajony, Estkowski zwrócony został rodzicom, z oświadczeniem że *do niczego niezdatny*.

Po powrocie do domu, począł się na nowo dotwierać ludzkich przyzwyczajając i powoli pozbywał się złych nawyków, dzikości i jakiegoś, jak powiada, obłąkania. Trwało to tak długo, jak zostawał pod okiem dobrej matki. W Powidzu, dokąd rodzice jego wkrótce się przenieśli, znów rozpoczęła się męka szkolna, którą tak wymownie sam opisuje, kłęcząc po całych godzinach z wyciągniętymi rękami, więzienie w piwnicy i t. p., co wprowadziło go na nowo w stan poprzedni, i gorzej jeszcze, bo na samo wymówienie nazwiska swego przez kogobądź, drżał z obawy czy na niego plaga nie spadnie; tak już powszednim chlebem była mu szkolna chłosta. W tak młodym wieku stracił wiarę w przywiązanie rodziców, uciekał od wsi i kryjąc się po zaroślach, rzewnie płakał.

Powieści z pisma świętego, a mianowicie historia Józefa patriarchy, którą często powtarzał, poczęły wpływać na wewnętrzny zwrot ku dobremu. Obrzydził sobie dawne sprawy, poprawił się zupełnie, z wewnątrz duszy odnowił; ale do szkoły wstąpił nieprzezwyjęzyczny, który do tego aż doprowadził, że ojciec wypędził go z domu, a nauczyciel zakazał do szkół przychodzić. Środek najostrożniejszy, użyty przez ojca i nauczyciela, zrobił skutek: chłopiec stał się najpilniejszym uczniem, chociaż do nauki żadnej nie przywiązywał wartości.

Po tej katastrofie, ojciec Ewarysta wszedł w obowiązki gospodarze, w miejscu gdzie szkoły wcale nie było; zawieszono przeto zostało kształcenie się dziecka. Czas ten po za szkolny stanowił najszczęśliwszy peryód jego dzieciństwa. Teraz miał pole oddać się zatrudnieniom jakie mu najwięcej do serca przypadały: począł malować obrazki świętych, a wieczorem codziennie chodził na prelekcje tak urocze dla duszy dziecięcej, na powieści gminne do starego bajdy włodarza.

Z wewnętrznego pociągu do sztuk i nauk, Ewaryst pokazywał zamiłowanie do stanu jaki obrał później; niechęć przeto uczenia się była tylko powierzchowną, wynikała nie ze wstępu do nauki, ale do nauczycieli i do więzienia, które nazywano szkołą. Wszyscy nasi poeci i ludzie prawdziwie narodowi mniej więcej przechodzili jedną drogę biedy i jedną szkołę gminnych powieści: ubóstwo uczyło ich miłości ubóstwa, a gmina na pieśń prostoty słowiańskiej. Tak wykształcił się Brodziński, tak Bohdan Zaleski, który dzieckiem przez kilka lat w chacie starego znachora chował się i pieśni ukraińskich słuchał, koczując po stepie, albo grzebiąc w popiele futorowego ogniska.

Do gimnazjum nie miał go za co ojciec oddać, nie pobierając jak ledwie tyle, że na biędne życie wystarczało; i tak upływał czas do roku dwunastego życia Ewarysta, w którym przyglądając się robocie stolarskiej w domu ojca, powziął chęć nauczenia się tego rzemiosła, które mu św. Józefa przypominało. Strugać od dnia do nocy, robić kołyski i stoliki dla ludzi, śpiewać przytém, a wieczorem słuchać bajek, ot i cały świat szczęśliwy, a czegoż trzeba więcej?... Na usilne prośby zezwolił ojciec i oddał go na próbę do stolarza. Ale rozczarowanie nastąpiło wkrótce: stolarz upijał się, hulał, używał słów nieprzyzwoitych, dopuszczał się sprośnych postępów, co niechęciło małego terminatora do majstra i do stolarki. I lepiej się stało, gdyż inaczej byłby może szczęśliwszym osobieście, ale kraj miałby mniej jednym z ludzi wyższych, naukowemu zawodowi się poświęcających.

W roku 1836, przysposobiony jako tako, przyjęty został do seminarium nauczycielskiego w Poznaniu, z wielką swoją radością.

Po trzech latach pobytu w seminarium, w moc

złożonego egzaminu, odebrał wezwanie od regencji poznańskiej do objęcia posady nauczyciela we wsi Wojciechowie, w powiecie szremskim. Pięknym to był dzień w życiu naszego pisarza i kto wie czy nie najpiękniejszy w całym jego zawodzie nauczycielskim. W dniu tym biędne niegdyś, bite, zahukane chłopię miało przywitać ubogie dzieci, równie jak on niegdyś trwożliwe, przygarnąć je słodyczą charakteru, zamiłowaniem piękności nauki, miało tych swoich młodszych braci ukochać i wynagrodzić im za poprzedników surowe obejście się z nimi. Co za dzień szczęśliwy dla młodzieńca marzącego o szczęściu wszystkich!

Uczniów miał około 80, nie brakło więc zatrudnienia, tém bardziej że młody nauczyciel cały dawniejszy system odrzucał, a nową metodę wprowadzając, do niej umyśle przysposabiać był zmuszony. Serdeczny, ale od dzieciństwa ku przełożonym zniechęcony, Ewaryst Estkowski znalazł się pod zwierzchnictwem inspektora szkoły w Wojciechowie, człowieka przykrego, a ciągle z nim zatargi zakłócały szczęście jakiego doświadczać począł w miłości dzieci, rodziców i kolegów. Nieporozumienia te zmusiły go do opuszczenia szkoły w Wojciechowie, i za karę został przeniesiony do małego miasteczka Mikstata, jako drugi nauczyciel.

W notatkach swoich Estkowski wiele ważnych dla stanu nauczycielskiego uwag o czytaniu i rolnictwie w tym peryodzie umieścił, których nie widzę potrzeby powtarzać; odsyłam więc czytelników do pracy oryginalnej, to tylko notując, że czynny umysł naszego pedagoga już wówczas wybiegać począł po za obręb swojego działania, że jako nauczyciel wiejski za wiele pragnął nauki na swój stan, że ta chęć ogarniająca go nieustannie, ta walka ze sobą, z niesystematycznego czytania autorów wynikająca, te artykuły pisane do dzienników w kwestjach pedagogicznych, to wydawnictwo projektowane książek, zapowiadały już rozleglejsze pole działania, niżeli je miał w Wojciechowie.

W Mikstacie przez półtora roku pracując jako drugi nauczyciel, pozyskał przychylność i zaufanie rodziców i dzieci, i mógłby był spokojnie urząd swój sprawować, gdyby nie chęć nieustanna kształcenia się. Z największą trudnością wystarawszy się o fundusze, porzucił nauczycielstwo i w uniwersytecie wrocławskim zapisał się na fakultet filozoficzny.

Młody nauczyciel wiejski naraz znalazł się jako śród wysp czarodziejskich, z których każda wabiła go na swój brzeg, że aż nie wiedział którą wybrać, ku której skierować się wyłącznie. Kollegia słowiańskie, statystyka, języki, historia, psychologia, logika, nauki przyrodzone otwierały mu skarby, o których dotąd pojęcia nie miał. Wszystko to chciał wchłonąć w siebie i tak obładowany wiedzą ruszyć z radością między młodzież, żeby jej opowiedzieć o słodyczy owych wód, które nie gaszą pragnienia, ale przeciwnie, im się ich więcej pije, tém więcej się pragnie, i tak aż do końca życia.

Przez czas swego pobytu na uniwersytecie skorzystał ile mógł; na dłużej zabrakło funduszków. Pożegnał więc z żalem wszechnicę nauk, oddalając się do rodzinnego gniazda, z nazwiskiem uniwersyteckim *chrobry*, z miłością kolegów i wiarą w przyszłość.

Nic zwykle właściwszego nad owe przewiska szkolne; przystają one do charakteru jak rzeczywista, wewnętrzna własność i pozostają jako przydomek i herb wydany przez towarzystwo, że tak powiem, przysięgłych. Nazwisko chrobry odpowiadało najdokładniej Ewarystowi: w rysach twarzy jego wydatnych, było coś chobrego; wreszcie w potomku zacnej litewskiej rodziny Estków (dziad jego pierwszy począł się nazywać Estkowskim), spokrewnionej z Kościuszkami, nie mogła inna fala krwi płynąć jak staropolska, chobry po dziadzie i pradziadzie. W przyjaźni, w miłości, w pracy, w poświęceniu, chobry był zawsze chobrym i chobrym umarł, na wielką biędę przyjaściół i kraju.

Na uniwersytecie cierpiał taki niedostatek, a nawet nędzę, że po kilka tygodni żył jedynie chlebem żołnierskim i wodą.

W początkach roku 1848, za usilnym staraniem, pozyskał posadę przy seminarium nauczycielskim w Poznaniu, której nie objął aż w końcu roku i to na krótko. Piszący ten pobeżny rys jego życia, nieraz miał sobie opowiadane te czasy, a w przyjacielskich powierzeniach się dusza Ewarysta rosła, potężniała, miłość współbraci wydawała się w każdym

jego słowie, w każdym poruszeniu. Ileż to razy powtarzaliśmy sobie: „ej! jeszcze nieźle, tykoż kochamy się!...“ Mówiąc to, mógłbym przewidzieć, że w kilka lat zapłacę na grobie przyjaciela i że ten grób gdzieś na obcej ziemi wyrośnie?.....

W roku 1849 zawiązał towarzystwo pedagogiczne, którego był najczynniejszym członkiem aż do chwili rozwiązania. W tymże roku rozpoczął wydawać czasopismo *Szkolę polską*, do którego później dołączył *Szkółkę dla dzieci*. Pismo to, ocenione przez najznakomitsze pióro krajowe (Karol Libelt, w przedmowie do drukujących się prac Estkowskiego), stanowi jego wieniec pedagogiczny i obywatelski. Ileż to w nim zdrowych rad, ile pomysłów rzucił dla nauczycieli!... Nieprzyjaciel kłamstwa i obłudy, przeciw nim walczył wytrwale i nie upadał w przeciwności. Pismo nie opłacało się; ztąd długi, kłopoty niepoliczone, a praca od dnia do nocy, za którą złamanego nie miał szeląga, bo na utrzymanie się musiał dawać lekcje prywatne.

Zaznawszy w dzieciństwie wiele niezasłużonych przykrości, walczył wciąż przeciw nudażyciom. Pierwszą rzeczą w każdym jego postępkę było zabezpieczenie się ze strony ludzkiej, uszanowanie dla człowieka, a ztąd równy udział we wszelkich prawach człowieczeństwa.

W przekonaniach religijnych długo wahał się, i może byłby, skutkiem walk z duchownymi, wewnętrznie na stronę niemieckiego filozofizmu się przechylił, gdyby myśl zdrowa nie była go ostrzegła o fałszywości negacyi, gdyby, jak mi to z ust jego wiadomo, widzenie senne nie objawiło mu prawdy. Od tego snu w chwilach smutku czy radości, pracy czy odpoczynku, zazierał już tylko z dziękczynieniem albo prośbą w kraj, w którego bramy niegdyś z chłopięcą zuchwałością bezsilną pięścią uderzał.

W tym także czasie Estkowski ożenił się, i wkrótce Bóg dał mu śliczną dziecinę, którą ochrzczono imieniem Zosi, do którego u nas zdaje się być przywiązane wyobrażenie dobroci, naiwności, wesołości, stanowiących charakter najogólniejszy Polek. Roskoszna to była dziecina; piastowaliśmy ją po godzinach, kołysali, śpiewali nad nią, póki się nie uciszyła — snem wiecznym.

W lipcu 1851 roku ostatni raz na polskiej ziemi, w życzliwym domu pp. K. w Przystankach, spędziliśmy razem kilka dni szczęśliwych, pływając po owych jeziorach słonecznych, w godzinie którą tylko w Polsce, dla długiej zorzy, możnaby nazwać godziną wiecznych tęsknot.

W r. 1853 spotkaliśmy się raz jeszcze w Paryżu, dokąd przybył w chęci poznania organizacji instytutów naukowych. Obszerniejsze plany snuły mu się po głowie, żądza wiadomości paliła go nieustannie; oświecać siebie i oświecać drugich, robić co można, byle czasu nie tracić, i nie unikać rzeczy małych, kiedy na podjęcie wielkich sił nie starczy, było jego przekonaniem, do którego każdy chętnie się przyzna, lecz nie każdy wykonywać je zechce.

Na kolumnie wandomskiej, w Luvrze czy w Sorbonie, w szole sztuk i rzemiosł czy w Wersalu, wrywały mu się z piersi westchnienia: „ach! g dyby to było u nas w Polsce!...“

W Paryżu poznał się z Sewerynem Gałęzowskim, z s. p. Adamem Mickiewiczem, który wówczas wieszkał w Montgéron za Paryżem, zwiadał szkoły, słowem nie zaniedbał niczego, co w przekonaniu jego mogło wyjść kiedyś na pożytek krajowi.

W r. 1854, dla nadwątlonych sił, był u wód w Salzbrunn, zwiadał przytém poraz pierwszy Kraków Wielką. Poczynało mu się rozwidniać w duszy światłem wewnętrznym wtedy właśnie, kiedy ta dusza do odlotu się zabierała.

Wadliwa organizacja piersi, zmartwienie powoli podrywające brzegi życia, praca od dnia do nocy, wszystko to razem musiało ściąć z nóg tego ruchliwego człowieka, który do końca życia nie wierzył w niebezpieczeństwo.

Po dziesięciu miesiącach ciężkiej choroby wysłany do Ischl, odzyskał siły i wrócił do domu z gorączkową chęcią odrobienia zaległych prac. W październiku 1855 r. rozpoczął nauczanie, lecz nie na długo, gdyż choroba płucowa rozwinęła się szybko, z płuc przeniosła się do gardła i cierpiał niewypowiedzianie.

W następnym roku wysłano go do Soden, gdzie po krótkim pobycie zasnął w Bogu, na rękach przy-

jaciela swego doktora Gąsiorowskiego, dnia 15 sierpnia 1856 r., w dzień Wniebowzięcia Panny Maryi.

Pokój zacnej duszy twojej, dobry mój przyjacielu i poprzedniku w drogę, na którą prędkiej czy później puścić się każdemu przyjdzie, choć nie każdemu jak tobie dostanie się ten krótki napis:

Tu spoczywają zwłoki dobrego człowieka.

Teofil Lenartowicz.

Kronika tygodniowa.

I sądziłby kto może iż Lublin, odebrawszy w bieżącym roku Łowiczowi wystawę, odjął zarazem całe zajęcie jarmarkowi łowickiemu. Gdzie tam. Przynajmniej w tej chwili Łowicki jarmark dosyć jest ożywiony, chociaż po prawdzie dotychczas więcej sprzedających aniżeli kupujących. Tak z końmi jak i z bydłem rogatym trzymają się w ogóle bardzo drogo; zdaje się jednak iż ceny spadną trochę, bo do sprzedaży jest nawał. Koni bardzo pięknych niemało; jako osobliwość widzieliśmy żrebię kilkumiesięczną, za którą właściciel żądał 150 rsr. i ani grosza nie chciał ustąpić od tej ceny. Jak zwykle kupców i przemysłowców z Warszawy zjechało tu mnóstwo; kramów nie brak, chociaż dotychczas niebardzo są uczęszczane. Jest i muzyka węgierska, którą jeden z przyjezdnych restauratorów zamówił, na wielką uciechę słuchaczy, których się pełno zbiera; jest cyrk konny i rozmaite inne widowiska. — Pan Pfeiffer z Krakowa zjechał ze swoim towarzystwem, i Warszawianie, którzy tak długo czekają u siebie na *Majątek albo imię* Korzeniowskiego, będą mogli przynajmniej oglądać tę sztukę w Łowiczu. Pan Pfeiffer wyjeżdża ztąd do Radomia, gdzie na początku października ma zamiar rozpocząć szereg widowisk.

Zebrałem tu dla czytelników fakt prosto z igły. Na pewnym proszonym obiedzie dobijano targu o dobra, które cenione były 350,000 rs. Kupujący dawał już 300,000. Niespodzianie zjawia się nowy gość, bogaty kapitalista z zagranicy, który w trakcie rozmowy posłyszał o tym targu.

— O co idzie? zapytał.

— O 50,000 rs. odpowiedziano.

— To bagatela, rzekł, niewarto dla niej zakłócać zabawy. Ja daję od razu żadaną cenę i kwita.

I jak rzekł, tak zrobił, kupił dobra, nie znając ich wcale, nie mając nawet o nich żadnych informacji.

Już w przeszłorocznym sprawozdaniu z jarmarku łowickiego, które było jednym z pierwszych w Tygodniku Ilustrowanym, zwracaliśmy uwagę czytelników na zbawienny zwrot jaki się okazuje w postępowaniu naszego obywatelstwa na liczniejszych zebraniach. Ustały dawne pohulanki, a przynajmniej jawność ich, tak gorsząca tych, coby radzi we wszystkim u nas widzieć postęp ku lepszemu. Obecnie, jeżeli wychyli się jedną albo drugą butelkę, to już nie dzieje się to jako ogólna jarmarczna zasada, której się większość trzyma, ale jako ustępstwo dawnemu mijającemu zwyczajowi, gdzieś po cichu, na uboczu. Z tego powodu zebrania mniej może gwarne, mniej wesole; ale wolimy tę ich obecną fizyognomię, aniżeli dawniejszą. Szulerzy nie mają tu prawie co robić: niedość że kryć się muszą ze swoim rzemiosłem, ale jeszcze zaledwie im się wróca kosztą podróży, i to jedynie za pomocą kilku fryców, których im ułować się zdarzy.

Wracając się raz jeszcze do Lublina, wspomnieć musimy o zarzucie jaki spotykał tegoroczny zjazd w tym mieście: narzekano na zbyt dużą jego wystawność. Owoż ten gołosłowny zarzut zaledwie z pozoru usprawiedliwia się znaczną liczbą bardzo pięknych pojazdów, krążących podczas wystawy po ulicach miasta, i kosztownymi strojami w jakie większość dam przybraną była na balu w resursie. Ależ powozów nikt nie sprawiał umyślnie, dla popisania się z niemi na lubelskiej wystawie; każdy przyjechał takim jaki miał, a jeżeli wziął lepszy od innych, to nie w tym dziwnego, bacząc na świetność zebrania. Co do strojów zaś, wszak wiadomo że na te dni kilka Warszawa jakby przeniosła się do Lublina; naturalnie więc że to wszystko co na naszych balach daje się widzieć, i tam także świetniało. Ale za to nie było żadnych pijatyk, żadnych nocnych zebrań i zamaceń ogólnego porządku uroczystości, które z godnym podziwieniem odbywały się ładem. Handle winne, a sporo ich

w Lublinie, nie były wcale przepelnione, bo obywatelstwo nie po to przyjechało, żeby kosztować i porównywać z sobą wina lubelskie.

Umyślnie wtrąciliśmy tu ten ustęp wymierzony przeciw tym, co we wszystkim złego chcą dopatrzeć. Jaki wpływ spowodował tę zmianę, która od kilku lat w postępowaniu obywatelstwa naszego stała się tak widoczną, tego zdaje się nie potrzebujemy tu wykazywać; każdy łatwo od skutków do przyczyn dojdzie i odda sprawiedliwość zasługom tych, których zbawienne usiłowania z tak dobrą wolą przez ogół popartymi zostały.

W Kruszwicy ma być obchodzoną rocznicą dziewięćsetletnia przyjęcia wiary chrześcijańskiej w Polsce. Nie wiem jak tam te daty rachują, bo przyznam się wam szczerze, czytelnicy, iż nie jestem bardzo biegłym w przedhistorycznej chronologii u nas, zwłaszcza że pamiętam dobrze jak o tę właśnie rocznicę niejedną już się toczyła polemika. I dlatego na miłość Boską zaklinam was, nie wydajcie mnie przed kolegą moim z Tygodnika Ilustrowanego Bartoszewiczem, że się wdaję w te rzeczy, bo nie uwierzycie ile ci ludzie nauki, ci sumienni badacze, ostrymi są i surowymi dla nas biędnych nieuków-literatów. Toć słowa nam się odezwać nie wolno, bo zaraz nam wytkną jakiego strasznego baka. Ktoś na przykład z nas napisze o Jadwidze, a z tego napisania okaże się, iż nie wiedział co Jadwiga jadała na obiad: w te pędy historyk z gorzkim wyrzutem przypomni mu, że były przecież kiedyś drukowane w Bibliotece warszawskiej wydatki stołowe króla Jagielly. Mnie samemu zdarzyło się, iż niestworzone męki musiałem wycierpieć za to, iż nie wiedziałem w jakiej czapce Zygmunt August chodził po domu. Taka to już nasza dola, więc nie dziwcie się że z wielką ostrożnością przystępuję do owej rocznicy; bo gdybym, chroń mnie Boże, czegoś zapomniał, byłoby mi za to, było!!

Pamiętam że kiedyś jeden z literatów tutejszych zauważył, iż Polacy, przyjmując wiarę chrześcijańską, jeden wielki błąd popełnili. Oto, jak wiadomo, naród nasz miał sobie nakazane burzenie bałwanów, i nawet, jak niektórzy historycy piszą, dość gorliwie wzięto się do tej operacji i po kilka razy ją powtarzano. Znana rzecz bowiem, że bałwochwalstwo strasznie tu było zacięciem i wracało się za każdą sposobnością, jak na przykład po śmierci Bolesława Chrobrego. Owoż fatalność chciała, iż nie wszystkie bałwany zburzono wówczas; niektóre się tak dobrze potaili, że ich nie można było znaleźć i wylazły na wieżach później, daleko później, aż dopiero w naszych czasach. Tak jest, bałwochwalstwo ożywiło się u nas niepomalu, i za lada przyjazną okolicznością pokazuje koniec ucha, jak ten osieł w bajce, co to się w lwią skórę przebrał. Bo i powiedzcie sami, ileż to my wad ubóstwiamy w sobie, wad których tknąć się nikomu nie wolno. Wasz biędny kronikarz tygodniowy niejednokrotnie, na własną szkodę, doświadczył tego. Ośmiel się tylko wypowiedzieć prawdę najdelikatniej, już wszyscy się na tę prawdę obruszają, już spokojności człowiek niema ani na chwilę, taki go grad zasypie pocisków, odpowiedzi, reklamacyj, wymówek. A to wszystko dlaczego? Bo śmiałek odważył się tknąć jakiegoś bałwanka, i nuż wszyscy jego czciciele huzia na niego! A ileż to my czcimy tych pogańskich świętości, aż strach bierze wyliczać! Opieszalszość, niedbalstwo, obojętność na to co pożytku krajowego dotyczy, samochwalstwo niczem nieraz nie usprawiedliwione, jakaś wiara w wybrannictwo swoje, które na tym zależy, żeby odpoczywać sobie wygodnie na słońcu, a czasem nawet i w chłodzie, i nie myśleć o własnej poprawie. I mógłbym wyliczyć długą, bardzo długą litanią tych wszystkich bożyszcz pogańskich, ale boję się znowu poruszyć przeciwko sobie tysiące gniewów, i wolę zamilczeć.

Kiedy jednak w Kruszwicy zdarza się tak dobra sposobność tysiąc czy dziewięćset-letniej rocznicy, sądzę że ci którzy wzięli na siebie obowiązek trudnienia się tą uroczystością, powinni przy sposobności wyszukać owych niedokruszonych bałwanów i strząśkać je już raz na dobre. Niechajbyśmy zostali narodem chrześcijańskim w rzeczywistym znaczeniu tego wyrazu, nie zamykając oczu na swoje wady, nie rzucając kamieniami na tych co je nam wytykają, ale owszem przekonani, że w poprawianiu się z nich leży prawdziwa żywotność społeczna, prawdziwy cel do którego dążyć nam trzeba. I niechaj mi nikt nie powie: a któż ci dał prawo do moralizowania? kto

cię bratku wprowadził na kazalnicę, i czy wartością swoją osobistą stoisz na wysokości powołania jakie sobie przywłaszczyłeś? Jeżeli wam słowa wyrzeczone przemawiają do przekonania, nie pytajcie z jakich ust wychodzą; kiedy spragniony pijesz dobrą a świężą wodę, co ci po tym zkaąd ona źródło wzięła?

Ale dość tych morałów, choć przyznam się szczerze, iż przy tak ważnej uroczystości warto było i pomoralizować trochę. Cieszę się przynajmniej błogą nadzieją, że przy obchodzie dwutysiącletniej uroczystości tej samej drogiej pamiątki, już nietylko sobie do zarzucenia mieć będziemy.

W literaturze, a przynajmniej w wydawnictwie naszym cisza. Firmy znane dawniej z przedsiębiorczości, nie kwapią się jakoś do nakładów poważniejszych. Czy dlatego że zbywa dziś na pracach w tym rodzaju, czy że lękają się braku czytelników? Zapewne i jedno i drugie; bo w istocie, dziwne jakieś rozproszenie pojedynczych usiłowań cechuje chwilę bieżącą piśmiennictwa naszego. Widocznie potrzeba nam środka, około którego skupićby się mogły rozstrzelone wiedzy promienie, a w niedostatku onego efemeryczne tylko zjawiska, silniejszym lub słabszym jaśniejące światłem, występują na horyzoncie literackim. Kiedy niekiedy zaledwo spotykamy się z pracami oryginalnymi, częściej już z przekładami, a najczęściej podobno z przedrukami utworów dawniejszych i materiałów historycznych.

P. Leon Rogalski przygotowuje dla księgarza Orgelbranda *Dzieje Multan i Wołoszczyzny*, oraz dwa tomy dopełnień do historii powszechniej Cantu, obejmujące dzieje i piśmiennictwo plemion słowiańskich. Michał Glücksberg kończy druk ważnej pracy J. Bartoszewicza p. n. *Historja literatury polskiej, potocznie opowiedziana*. W Żytomierzu drukarnia J. Chruszcza ogłosiła prospekt na *Pamiętniki Wawrzyńca Rakowskiego*, rotmistrza pospolitego ruszenia ziemi wiskiej, zawierające ciekawe szczegóły z czasów najazdu szwedzkiego pod Karolem XII. Tamże wychodzi tłumaczenie *Legendy wieków* Wiktora Hugo, dokonane przez Apolla Korzeniowskiego i Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa). Professor Feliks Jezierski, który dwoma już pięknymi przekładami z Longfellowa (*Złotej legendy i Ewangeliny*) przysłużył się piśmiennictwu krajowemu, wkrótce podobno ogłosi drukiem *Dumę o Hiawacie*, tegoż autora. Panna Józefa Śmigulska wydaje dziełko zbiorowe p. n. *Zabawy umysłowe dla młodego wieku*. Orgelbrand, w dalszym ciągu pism Juliusza Słowackiego, przygotowuje: *Mindowe, Maryję Stuart i Sen srebrny Salomei*. W Kijowie wyszedł tom pierwszy dzieła Tocqueville'a *Demokracja w Ameryce*, w tłumaczeniu A. Jakubowicza, studenta tamecznego uniwersytetu. Ostatnią nakoniec pożądaną dla nas nowością jest *Polska w pieśni*, poemat Deotyminy, tylko co wyszły z drukarni Kowalewskiego, któremu wkrótce osobny poświęcimy artykuł.

Otóż i wszystko z nowin literackich, o czém w tej chwili przypomnieć sobie mogliśmy. Nie tu jest miejsce podawania spisów bibliograficznych; o niezupełność więc powyższych wiadomości ani czytelnicy, ani pominięci autorowie pretensji do nas mieć nie zechcą.

Widzieliśmy w tych dniach wydanie fortepianowe *Króla pasterzy*, operetki Oskara Kolberga, znanego zbieracza pieśni i melodj ludowych, wyszłe nakładem sztycharni nót p. Otto w Warszawie. Jestto zeszyt złożony z 21 arkuszy, z ozdobnym tytułem rysunku p. Gersona. Z zawartych w nim ośmiu numerów najpowszechniej podobają się: duet Wojtka i Rózi („Bładym smugiem świta dzionek“) i arija buffo Ciemięgi („Już świta słońko“). Cena całego zbioru (zł. 20) nie jest stosunkowo wysoka; pragnęlibyśmy jednak, dla większego rozpowszechnienia miłych tych śpiewek, żeby wydawca jeszcze ją obniżył, a pokup znaczniejszy niezawodnie zrównoważyłby to ustępstwo.

Na zakończenie wspomniemy jeszcze o fackie dowodzącym znacznego u nas w ostatnich czasach rozwinięcia jednej z ważniejszych gałęzi rękodzielnictwa. Zeszłej środy wyprawiono z Warszawy do Tyflisu 52 karet osobowych, przeznaczonych do krążenia po kaukaskich traktach. Dla zamówienia tych powozów, dyrektor poczty tamecznych odbył (jak nas zapewniano) podróż zagranicę; lecz powróciwszy do Warszawy, znalazł je tutaj, przy równym wykończeniu, tańszemi a szczególnie trwalszemi; u nas więc karety o których mowa zostały wykonane.

KILKA RYSÓW FOTOGRAFICZNYCH Z TATRÓW.

(Dokończenie.)

W całych Tatrach niema doliny, coby sprawiała tak wdzięczne wrażenie. Jakżeż rokosznym jest tu ów Dunajec, czysty jak kryształ, co jak chłopiec swawolny i hałaśliwy skacze z kamyka na kamień po najpiękniejszej murawie, zasłanej najrozmaitszymi kwiaty! Bogata tu flora, bo też i miejsce samo, zasłonięte górami, ma temperaturę cieplejszą. Dolina ta nie jest jednakże zupełnie pustą; ma ona pięknie zabudowaną Leśnicówkę, a dalej stoi przy niej i karczemka dla wygody gości wystawiona, obecnie opustoszała.

Za drugą bramą Kościelisk, utworzoną z dwóch rozdartych skał, zwięża się już ten jar, którym Dunajec szumi, w ciasny prawie wąwóz. Charakter widoku zmieniony zupełnie: skał urwiska, ogromne głazy zwalone jedne na drugie, istny plac boju Tytanów. z pośrodku którego znów świerk wyrasta. Dzikość i groza, przerywana tylko kiedy niekiedy ślicznymi płatami zielonych hali, towarzyszy ci w całej utrudzającej drodze do źródeł rzeki, a raczej do jamy w skale, z której źródło wytryska.

Paromilową drogę dzielącą Kościelisko od Zakopanego, przebywa się prędko i dość wygodnie. Do wygody tej dodaje też wiele i ta nadzieja, że się niezadługo w wygodnej austeryi odpocznie, jakiej się dotąd jeszcze nigdzie nie napotkało, a jaką znajdziesz w Zakopanem. Dolina Zakopanego, lubo nie ma piękności Kościelisk, wszakże widziana w pewnym oddaleniu ze wszystkimi kuźnicami, magazynami i wspaniałym, jak na te góry, mieszkalnym domem dziedzica, zgoła z całymi zabudowaniami, leżącymi jakby drobne kamyczki białe na dnie olbrzymiej czeluści, daleko przedstawia się malowniczej, niż tyle innych zachwalonych tatrzańskich widoków. W górze nad tą okolicą panującej wytryska źródło potoku, dostarczającego wody wszystkim machinom i młotom. Płyne on z szumem w głębokim rozdole, zawalonym skałami i zarosłym świerczyną; źródło samo wytryska z ogromnym hukiem wodospadu odrazu z taką obfitością, że dość imponującą tworzy kolumnę wody, która rozbijając się o kamienie, spada z góry. Zresztą charakter okolicy zawsze jeden i ten sam: skały, kawałki zieleności, mrukliwy potoczek i świerki, wszędzie świerki.

W Zakopanem, własności p. Homolacsa, jest zakład hutniczy, zajmujący niezawodnie pierwsze miejsce między galicyjskimi

zakładami, którego zarząd prowadzi pan Seweryn Chryściński krakowianin, wykształcony w Niemczech w akademii górniczej w Frejbergu i Belgii.

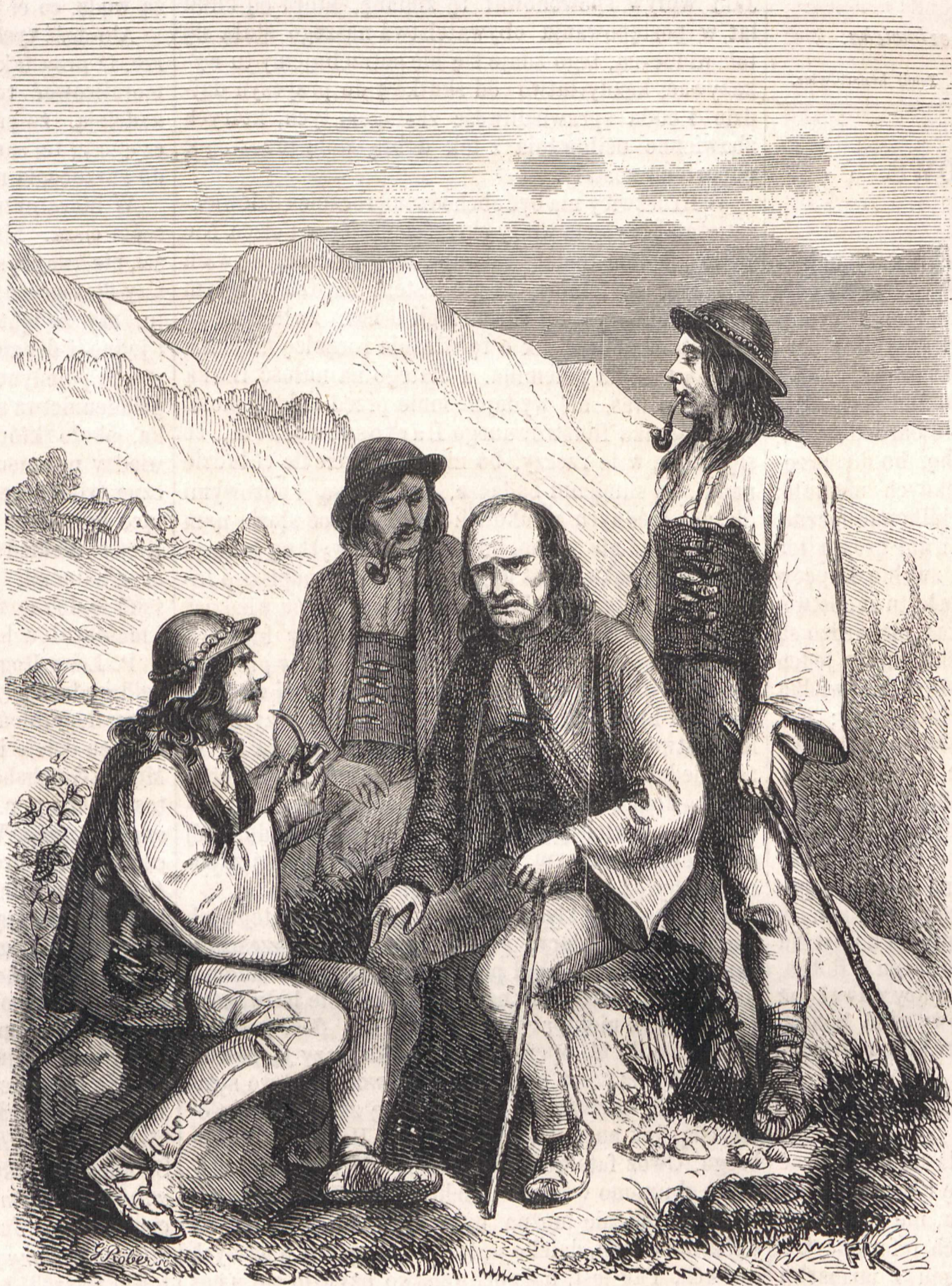
Huty te służą w Zakopanem za pierwszą niemal

dopiero osadę; przedtem bowiem było tu tylko koczowisko pastuchów, przyganiających tu trzody na parę miesięcy letnich. Sprawia to bardzo miły widok, kiedy wyszedłszy z chaosu skał, gdzie śpiewu ptaszka nawet nie usłyszysz, znajdziesz się nagle w dolinie Zakopanego, pełnej ruchu, pracy i przemysłu.

Górale mieszkający w Zakopanem, mają się po największej części dobrze, są pracowici, pobożni i schludni, czego wszystkiego dowodów szukać niedługo potrzeba, bo jeno zajrzeć w pierwszą lepszą chatę na drodze, a odrazu znajdzie się uderzającą różnicę zamożności i porządku jej mieszkańców, od reszty znanych nam już górali. Są to Podhalanie. Chaty ich, pokryte dachami z gontów od góry, od dołu dranicami zaprawione. W każdej chacie jest zazwyczaj sieni, dwie izby i komora, a wszystko czyste i miłe dla oka. Gospodarz (gazda) takiej chaty, gdy do niego zajrzesz w gościnę, przyjmie cię z całą serdecznością, usadowi za stołem, w miejscu gdzie jeno gaździnie siedzieć przystoi, a parobkami (synami) obsłuży cię ochoczo, wypyując się skwapliwie, czyś nie głodny, czy ci smakowały skromne a zdrowe potrawy.

Prawdziwą ozdobą Zakopanego są różnobarwne łąki, różnobarwnością barw swoich przewyższające o wiele błonia po równiach. Zda się że przyroda, nigdy zbyt szczerą, w tatrzańskim kręgu czarodziejskiego świata tchnawszy urok piękna i wdzięku, dlatego więcej podziwienia godnych rzeczy po nim rozlała, aniżeli grząd owocujących ziarnem zboża. Co do urodzajów, tak w tej jak i we wszystkich niemal Tatrów okolicach, są one tak liche, że z tego powodu góral uciekać się musi do innych środków życia, które na szczęście przyroda sama mu nastrecza. Mówi się tu o chowie owiec i krów, który jest najgłówniejszym

zatrudnieniem Podhalan. W głębi tych samych Tatrów, których sąsiedztwo tak jest zgubnym dla rolnictwa, rozścielają się polany, czyli łąki górne w krainie lasów położone, a nad niemi hale, czyli łąki alpejskie, położone już powyżej górnej granicy kosodrzewiny. Jedne i drugie najwyborniej dostarczają paszy dla owiec; tam je też w letnich miesiącach pędzą wesołe juhasy, pod wodzą obranego bacy, który dzierżąc całej gromady zaufanie w swém ręku, kieruje tą wcale poetyczną wyprawą na hale. W szafasie z okrągłych drzew zestawionym, koczuje taka rodzina pasterzy całe lato. Wesołymi pieśniami skracają sobie pastuszki swoje czuwania, a żentycy służą im za manę, którą i siebie i psów nawet swoich tuczą. W stro-



OPOWIADANIE STAREGO BACY.



TANIEC WESELNY GÓRALI

ju takiego juhasa zasługuje na uwagę gruba czarna koszula, napuszczona tłustością, której przez cały czas pasterstwa nie zdejmuję.

Uszérokich, otwartych rękawów, wiszą kutasy z kolorowych paciorków i inne świecące ozdoby. Pas szerszy jeszcze niż zwyczajny, z mnóstwem łańcuszków i rzemyczek; dalej *serdak*, to jest kożuszek krótki do pasa, bez rękawów. Przez plecy przewieszają wielką wełnianą torbę z długimi frendlami. Kapelusz ozdabiają suto łańcuszkami, paciorkami i piórem z jakiego ptaka. Krótka fajka jest nieoddzielną częścią ich fizygnomii. Dziewki, *kucharkami* zwane, chodzą koło krów; juhasy doją owce w początkach lata, gdy pasza jest obfita, trzy razy na dzień, później już tylko dwa razy, to jest rano i wieczorem. Mówiąc o różnych właściwościach górali, o przymiotach ich fizycznej budowy, zwinności, rzeźkości i o różnych obyczajach ich i zatrudnieniach, nie będzie od rzeczy zapisać tu parę słów, na pochwałę tego uczciwego i bogobojnego ludu i przymiotów szlachetnych jego duszy. Już w rysach twarzy górala, zawsze prawie pięknych, maluje się wyraz pewnej szlachetności i powagi, a na otwartém

i pogodnym czole panuje cisza rozsądku; w oczach jasnych, dużych a pięknych, łatwo wyczytać dowcip, szczerłość, otwartość, a śmiech swobodny przyciąga ku sobie każdego, jako rękojmia spokoju sumienia.

dotąd dawnych zabobonnych przesądów, nie kalających wprawdzie światła wiary świętej, lecz sięgających najdawniejszych czasów ciemnoty religijnej. Nigdzie nie znajdziesz tyle tradycji o strzygach, upiorach, boginkach, dziwożonach, wilkołakach, diaskach (biesach) co u nich. W pieśniach ich, zebranych przez p. Zejsznera, dopatrzysz się tej poezji gminnej, jaka znamionuje ich życie.

Najszlachetniejszym jednakże przymiotem górala jest nieograniczone przywiązanie do swojej ziemi; gdy dla zarobku w świat obcy z niej wybiegnie, traci niemal cały urok życia, który tylko wśród gór jaśnieć mógł na jego czole. Przesadzona roślina z ziemi na której wyrosła, więdnie i usycha, tęskniący góral za swymi halami, marnieje i zamiera. Toż pięknie maluje takiego górala tęsknotę jedna piosnka młodego poety, który mówiąc o frasunku zdala od ojczyzny tułającego się górala, tak ją kończy:

Wódką zalał zale,
Pod ławę się rzucił

I przez sen wciąż nucił:
Hależ—moje hale!

Lecz za wiele już tych nawiasów w takim opisywaniu urywku. Dolina Zakopanego i jej mieszkańcy



CZYTANIE NIEDZIELNE

Wiara u górala jest tych wszystkich zalet podstawą. Idą też za jej zakonem tradycją od wieków rozgrzewającą ich serca, a tak się z nią zrosli jednolicie, że obok świętych jej prawd, które czczą, nie porzucili



KUŹNICE W ZAKOPANEM, WIDOK OD STÓP NOSALA.

zadługo zajęli naszą uwagę sobą, czas zwrócić się do dalszej drogi, bo jeszcze nie mały świat przed nami. Znowu przebedziemy pięć-milową przestrzeń, okolicę urozmaiconą mnóstwem bystrych potoków, miniemy piękne wsie Poroniny, Kuźnice żelaza, Mur, piękną dolinę Białki, poznamy dumne czoła Łomnicy, Krywania i innych turni najwyższych w całym Tatrów łańcuchu. W tej wędrówce, którą dla złych dróg lepiej pieszo odbywać, ukaże się nam niemniej czarujący jak poprzednie, widok polany zwanéj Łysą. Kobierzec kwiatów, lekko ocieniony wzgórzami, z których jednego skroń owita turbanem z szałas, stada pasącego się bydła, pasterze i pasterki uganiające się za nimi i dzwicznym głosem zwołujące owieczki, i echo tego głosu, i niebios jasna pogoda, i tchnienie letniego wiatru, to są części tego idyllicznego obrazka, to są piękności widoku Łyséj polany. Ten obraz kończy romantyczny rozdział podróży naszej z Zakopanego, której jak się może domyśleć ten, kto był w Tatrach, jest celem: Morskie oko.

Odtąd zaczyna się znów zmieniać charakter okolicy. Dzikość i nieład, gruzy, zgorzeliska, urwiska, zastępują rzewną ciszę i swobodę krasy kwiecistych łąk. Ponad ujściem Rostoki, wypadającej dwoma ramionami z przepaścistej doliny, idzie się wśród niedostępnych wyłomów i stosu połamanych urwisk, wśród trwogi, najmężniejszą duszę do obawy skłaniającej, podziwiając z jednej strony pasmo Opaloną, z drugiej olbrzymi mur Wołoszyna. Granitowych ścian Wołoszyna kosodrzewina się czepia gdziegdzie tylko, mchy rozmaitego gatunku rosną kępami w załamek skały, a wyżej już tylko naga piętrzy się opoka i bieleją płaty śniegu, którego nie stopiło jeszcze skwarne letnie słońce. Wąskie dno tej głębokiej doliny zalegają ogromne odłamy głazów, pomiędzy którymi z gęstym szumem przewala się rozhułkana Rostoka, zasilana ciągle spływającymi z obu boków wodami. Coraz dalej, coraz dzikszymi świat olbrzymich pięt i lodowatych szczytów; śnieg nie tylko na szczytach ale po bokach i u stóp ich leży. Wspiąwszy się nareszcie po płytach kamiennych, dostajesz się na trawnik rozesłany na pochyłości skały nad głęboką przepaścią, i ujrysz huczący już od chwili opodal wodospad Siklawy. Ta brylantowa wstęga, tak głośna jak piękna, spadając z nagiego grzbietu, w mniejszej połowie swego spadku napotyka na skalistą przeszkodę, ulega jej sile, rozpryskuje się w dwa ramiona i tuląc się do kamiennego łona, tonie w przepaścistej głębi. Wysokość wodospadu wynosi około 100 stóp; najwspanialej dojrząc go można ze spodu, do którego jednak dojście jest niezmiernie trudne. Równie uciążliwą jest podróż od wodospadu do doliny Pięciu stawów, najdzikszej w północnej stronie Tatrów. Na obszernej, łomami kamieni zavalonej dolinie, dokoła skałami nagiemi lub smugami zlodowaciałego śniegu okrytymi otoczonej, siadło pięć jezior przy sobie, które lud Pięcioma stawami zowie. Największy z nich jest środkowy, przeszło 40 morgów zalewający, zokrąglony po rogach, kształtu podłużnego czworoboku, zwie się Wielkim; obok niego jest drugi Małym zwany, płytki, a trzeci zowie się Przednim. Te trzy leżą nieco niżej, więc też ich tylko wody widzianymi być mogą przez idącego do Morskiego oka. Dwa inne, Czarny i Gładki, w górze osiadłe, późno bardzo tonieją i niedostępną strażą zwalisk i złomów skał dla podróżnego są zamknięte. Cała ta okolica ma wyraz dziki, okropny, martwy; ale nagrodą za wszystkie trudy i tęsknoty wędrowca staje się wreszcie upragnione i wyczekiwane Morskie oko.

Wystawmy sobie łańcuch skał nagich, dzikich, prostopadłych, wznoszących się do 2000 stóp nad powierzchnią jeziora, w olbrzymie zatoczony koło, tak iż z jednej tylko strony, od doliny Białki, to jest od wschodu, gdzie rozstały się granitowe opoki, jest wolny i obszerny przystęp. Skały te piętrzą się niby mur odwieczny, w górze dziwnie postrzępiony, poszczerbiony, porysowany. Obszerną przestrzeń zamkniętą temi potężnymi ścianami zalewa jezioro owalnego kształtu, którego wody zdają się zupełnie przypierać do otaczających je granitów. Z południowej strony, w ustępie skał otaczających Morskie oko, o 500 stóp wyżej, leży Czarny staw, z którego wypływa szeroki potok, i z tej wysokości spływa w jezioro. Na krawędzi skalistego łoża Czarnego stawu utkwiony krzyż, zwraca ku Bogu duszę upojoną widokiem cudów tyłu i święty jakiś urok na ten am-

fi teatr skał i wód roztacza. W północno-zachodnim kącie Morskiego oka, prawie zupełnie naprzeciw wspomnianego wodospadu, sterczy stroma, piramidalna, zupełnie naga skała, do 300 stóp wysoka, zwana Mnich, po za którą jest także przejście do Pięciu stawów. Na wiosnę lub po nawalnych deszczach, gdy wzbiorą górskie wody, widok spadających do Morskiego oka potoków, a mianowicie owych z Czarnego stawu i z po za Mnicha, musi być bardzo wspaniałe.

Górale zowią zwykle Morskie oko *Rybiem jeziorem*, a to dla znajdujących się w niem pstrągów, nieco odmiennych od innych dotąd znanych gatunków. Na obejście jego potrzeba dwóch godzin. Zrazu zdaje się ono niewielkie, dopiero rozpatrzywszy się lepiej, poznasz że to było złudzenie, spowodowane olbrzymiemi granitowemi massami, obok których wszystko maleje, niknie. Turnie strzegące cichych wód jeziora, choć dzikie, tak są przytęm wspaniałe, tak poważne i piękne, że wrażenie zgrozy ustępuje tu jakiemś powabniejszemu uczuciu, podobnemu do tego, jakiego doznajemy wchodząc w progi Pańskich przybytków. Ta cisza, to uroczyste milczenie modlitwy, najwymowniejszy to obraz uczuć serca przepelnionego wiarą i pokorą.

Znane są aż nadto podania górali o dziwnych stworach żyjących w wodach Morskiego oka, o połączeniu podziemnym, niby istniejącem pomiędzy niem a morzem, wielokrotnie je opisywano i dlatego ich tu nie powtarzam.

Na tych ustępach, nienowych zapewne dla czytelników pism poświęconych Tatom, urywam nateraz opowiadanie moje, mające na celu dopomóc wyobraźni do zrozumienia tych widoków i scen z życia górali, jakie fotograf wziął z pierwszej ręki, a ryłec powtórzył.

J. K. T.

JAK SIĘ U NAS TWORZĄ PODANIA.

(Dokończenie. Zob. Nr. 49 Tygod.).

Szczęśliwem zdarzeniem dowiedziałem się o robotach technicznych, prowadzonych w celu osuszenia pewnej wielkiej, bo przeszło 300 włokowej przestrzeni bagien, i w celu spuszczenia jeziora Ażarelis. Lecz z temi wieściami, dla których nie mogłem być obojętnym, dobiegły mnie szeptu ludu, który z niedowierzaniem ciągle powtarzał:

— Marna wasza praca; księżę Strukis wody z jeziora nie puści!

Nie potrzebuję zapewniać, że słów tych śledziłem znaczenia, i dążąc starannie do ich źródła, podsłuchałem u ludu śliczną powieść, którą przedstawiam tu w treściwym i najdokładniejszym obrazie.

„W obszernej lasach polskiej Litwy, a mianowicie w powiecie maryampolskim, o małą milę od Niemna, znajduje się od wieków wielkie bagno z jeziorem Ażarelis (jeziorko). W tém jeziorze mieszka księżę niegdyś litewski imieniem Strukis (kusy, bez ogona), z całym dworem urzędników, przyjaciół i współtowarzyszy. Sam księżę, jest to nadzwyczajnej wielkości szczupak bez ogona, a przy ukazywaniu się na powierzchni wody, co przypada raz tylko do roku, podczas świętojańskiej nocy, przybiera postać diabła w kusym niemieckim fraczku. Dwór jego, także zamieniony w samych szczupaków, pełni służbę na każde skinienie księcia, który w gniewie pokrywa jezioro bałwanami, rwie brzegi, wznosi wiatry i każe lasom kłaniać się do samej ziemi. Kiedyś ten szczupak Strukis miał być najdzielniejszym księciem litewskim, bo pełen odwagi i poświęcenia szedł na najliczniejszych wrogów, zwalczał ich i zawsze zbawiał ziemię, trapiącą napadami chciwych Krzyżaków. Litwa też księciu ufała, w jego dzielnym ramieniu widziała obronę, w jego poświęceniu i zapale przeczuwała upadek nieprzyjawnego zakonu. Księżę, w potęgę i miłość u ludu, zdawał się już równać z bogami pogańskiej Litwy, i kto wie, możeby im sprostał zupełnie, gdyby nie oczy jakiejś dziewczyny, będącej jako branka, zapewne Polka, w namocie krzyżackiego wodza. W oczach tych dzielny księżę zupełnie utonął, a gdy ogień, nieznanemu do tychczas, całym owładnął, począł pragnąć dziewczyny i gotów już był dla niej uczynić największe ofiary. — Niedługo też począł zdradzać swoich. Raz gdy natarł na Krzyżaków i już miał nad nimi otrzymać pełne zwycięstwo, spostrzegł nagle błagającą dziewczę.

Posłuszny jej wejrzeniu, opuścił dobrowolnie plac bitwy, cofając się zdradziecko własy. Krzyżacy ośmieleni nacierali, a gdy księżę nie myślał podnieść groźnego oręża, Litwa pewnoby padła ofiarą, gdyby nie przekleństwo ludu, który poznawszy zdradę swego wodza, wezwał kapłanów, krzykiem rozpaczliwym swych bogów, i za tych sprawą ziemia nagle się rozstała, wytrysły cudownie wody i zalały na wielki księcia, z całym jego służalczym dworem. Więc Ażarelis jest siedzibą czartów, bo łotrów i zdrajców swój ziemi.“

Oto i całe podanie, które ci lud z wiarą opowiada. W łonie ciemnych lasów jest miejsce przekłete, które wymija każdy, bojąc się napadów złego ducha, a gnieździ się w niem powieść, co ją dziadowie wysnuli, a młode pokolenie okryło wiarą i szacunkiem, jako najczystsza spuściznę. Dziś śmiała ręka ludzi mądrych przekłete jezioro ma wysuszyć, księcia z dworem całym uwolnić z kaźni wiekustej! Dziś ma runąć cały gmach wiary ludowej w powieść o Strukisie, wszystko ma się zamienić w popiół, słowa ojców staną się fałszem i lud ma stracić bajkę, dla której nie raz zadrżał, niejednym wymówił paciérz, niejedną uczynił ofiarę! Tyle zmian, tyle upadku — jakże więc mogą wierzyć, że wszystko co do dziś prawdą było, jutro stanie się fałszem, jakże nie mają wstrząsać głową i upornie powtarzać:

— Na nic wasza praca, Strukis jeziora nie puści!

Roboty jednak ciągle postępowały; jezioro za dni kilka miało spłynąć do Niemna, bagno zmienić się w przestrzeń urodzajną, a cała okolica pozbyć się czarta, w osobie przekłetej księcia. Lud na te wszystkie nadzieje tylko dobroduszenie się uśmiechał, a gdy patrzył na ten uśmiech powątpiewania, rosła we mnie gorączka i ciekawość, aby co najprędzej być widzem rozwiązania tego ludowego dramatu. Upragniona chwila nareszcie nadeszła.

Natychmiast ruszyłem z miejsca wypoczynku i przybywszy do miasta Sapieżyszek, zabawiłem nieco u czcigodnego miejscowego proboszcza, rozpytałem się o bliższe szczegóły, a widząc ciekawość i oczekiwanie nawet miejscowych, z rozpasaną wyobraźnią przebiegłem kilka wiorst powabnych dolin, i stanąłem na miejscu.

Nie wiem jak tam wyglądają puszcze amerykańskie, jak odpoczywające karawany w rozległych piaskach Afryki, ale jeśli koniecznie swoje krajowe wrażenia mam mierzyć na dalekich wzorach, to powiem że nagle przedstawiła mi się miniaturowa panorama puszczy i karawany. Las i bór, jak oko zasięgnie, jak przejść zdołasz przez dzień cały; ciemna, świerkowa zieleń przygasza światło pogodnego nieba; gdzie krzykniesz, odpowiadają echa ciężkie, ponure. A w łonie tej puszczy patrzy ku niebu jezioro, lecz patrzy jakoś niechętnie, gniewnie, i mimo że gwiazdy i księżyc wdzięcznie w niem się kąpią, oblicze ma straszne, jak zdrajcy i łotra. Po jasnej linii kanałowej, wyciętej wśród lasu, widać ciemne wody jeziora, widać jego ściągające się fałdy, co są groźbą i znakiem, że za chwilę brzeg może się zatrzęść i rozproszyc bojaźliwy naród.

Gdybym bez żadnej nawet wieści przybył w to miejsce, stanąłbym nad brzegiem jeziora i w tej ciszy, w tém złowrogiem milczeniu, szukałbym jakiej ludowej powieści; puściłbym się myślą w zamroczoną przeszłość, i oglądałbym, zdaje mi się, że tu a nie gdzieindziej mieszkać powinien, mieszkać musi zdrajca, księżę litewskiej ziemi — tak tu wszystko tchnie tajemnicą; całe wejrzenie jeziora otoczonego dokoła wysokim lasem, na samych bagnach, ma w sobie coś diabelskiego. Nikt tak nie potrafi jak lud nasz, obierać mieszkań dla bohaterów swych powieści.

Było już dobrze pod wieczór, gdy barwa nieba poczęła się godzić z barwą jeziora, a brzegi, sieczone wodą, odzywały się jakąś niewyraźną pieśnią, która jednak ginęła, nie wzbivszy się nad lasy; bo pieśń jeziora, pieśń goszczących robotników w namiotach, gęstym skargi księcia i piski dworaków jego. Wieczorna godzina zakłapała życiem. Wszędzie namioty z darni, gęsto po obu brzegach kanału ustawione; przed setkami namiotów rozłożono wielkie ognie; płachty porozwieszane na drzewach, czarne obłoki dymu, śpiewy ludu, gwarzenie zmordowanych robotników, szczebiot i płacz dzieci, krzyki, hałasy i... cisza, — wszystko to składało obraz niezwykle, jaskrawy, a rozrzucony z całym bogactwem wschodniej wyobraźni. Błądziłem pomiędzy temi namiotami

mi, i znowu slyszalem jedne slowa powatpiewania, widzialem wszedzie jeden wyraz twarzy, w ktorym latwo mozna bylo wyczytac: Nic z naszej pracy nie bedzie. Strukis kanał zawali! A kanał stoi jak mur, a jutro ma się wylać całe jezioro do Niemna.

Zatrzymałem się nareszcie przed namiotem wspianym, zbitym z desek i kłoców; wszedłem do izby, pokłoniłem się będącym w niej czarnym czyli surdutowym ludziom i poprosiłem o gościnność, a otrzymawszy ją uprzejmie, w namiocie noc pierwszą przepędziłem, otoczony we śnie węzami, bożkami, Strukisami i całym światem bajek litewskiego ludu.

Dzień wypędził mnie z namiotu; znalazłem się znowu w gronie robotników, pochyliłem głowę przed białym krzyżem, co wzniesiony na wzgórzu ponad drogą, czekał poświęcenia, i spojrzałem na lud cały, w którego piersi wiązał się nowy obraz, szkiecowany siłą przeczucia dla nas niedostępnego. Okolica odmienna teraz przedstawiała widok: brzożki uśmiechnięte, świerki nawetnie tak ponuro patrzyły; wszystko widać było w znowie z Strukisem, bo i jezioro, rade że jeszcze w miejscu ujrzało nowy dzionek, pluskało, ale to tak igrająco, jakby starało się wmówić w mądrych ludzi, że taki szmer miły może dźwięczyć tylko w krainie duchów czystych, a nie w siedzibach czarta. Przebiegłem świeżo usypane wzgórza, zdeptałem czerwone kwiaty mchu i zerwawszy jako osobliwość kilka roślinek tu tylko rosnących, a zwanych plurami (moruszka, rubus chamemorus), z ślepotą prostaka zacząłem się unosić nad ich budową. Pokrewniwszy się jednak tym sposobem z okolicą, poczułem się jakoś przygotowanym do patrzenia i pojmo-

wania. Stałem nad jeziorem: w około uwijali się robotnicy — rydle, siekiery, windy, podwaliny w ciągłym były ruchu, bo ostatni przekop robiono, ostatnia zaporą miała pęknąć i puścić wodę z jeziora... Kilka cięć jeszcze, kilka silnych wstrząśnień dłonią kilkusetnego robotnika, i ostatnia warstwa torfu się przewala, włókna rwą się, zawaly pękają, brzeg płaszczy się, kilka strumieni wody błyszczy już w górze... chwila... i wielka kaskada z pianą i szumem skacze z jeziora!

Zwycięztwo! zawołali kierujący robotami, zwycięztwo! powtórzyliśmy wszyscy, a lud, odetchnawszy swobodnie, uśmiechnął się patrząc na dzieło rąk swoich, ale nie śmiał odważnie uwiezić wzroku w jeziorze, po którym fałdy złowieszce szybko ściągają się ku brzegowi poczęły.

Już długa wstęga kanału błyszczała do końca, do samej doliny; już wszyscy wzrokiem ścigali piętra piany puszającej się na wodzie; wszyscyśmy czekali jak cały kanał zmieni się w lustrzany kryształ, gdy nagle o kilkadziesiąt kroków od jeziora wyskakuje nowa kaskada i pnąc się w górę, zdaje się rozsadzać brzegi kanału. Niespodziewanie napotkaną opokę skalistą usunąć koniecznie należało, aby strumieniom wody nie tamowała wolnego odpływu do Niemna. Wysilenia robotników były nadzwyczajne, wszyscy oni chcieli rzucić się do dzieła, a opoka, jak ze spiżu, ani drgnie. Nareszcie udało się od dna nieco ziemi usunąć i woda swobodnie biedz poczęła; ale góra kaskady wciąż rosła, bo opoka nieczuła na wszystkie uderzenia toporów. Po długiej a nadaremnej pracy, lud opuścił ręce, zwątpił, spojrzał z przestachem na mocno poruszone jezioro i tajemniczo zawołał:

— Taj mataj! Strukis!

Starzy rybacy, których sięć mekła w niejednych wodach, pierwsi odłączyli się od pracujących, a wspomniawszy o swojej młodości, w której niebaczenie raz puściwszy się na jezioro dla połowu ryb, w sieci znaleźli węża, jako groźbę i przestrożę od księcia Strukisa — tém wspomnieniem odstręczyli innych robotników. Wszyscy powtarzali: Strukis! Strukis! i niejedno szept modlitwy, niejedno przeżegnanie tym słowom towarzyszyły.

Dziwno, dziwno było slyszec te zaklęcia, widziec te przerażone twarze, czuć to ogólne zwątpienie, być świadkiem całej walki, wydanęj niejako przez lud w obronie powieści dziadów, w obronie swęj wiary w potęgę Strukisa.

Gdy lud w w beczynnności oczekuje koniecznych następstw mocy przeklętego księcia, staje pośrodku nas kilku duchownych, którzy uproszeni, przybyli poświęcić nowy krzyż, wzniesiony jako pamiątka robót na wzgórzu.

Krzyż, co patrzy na lud cały i na dzieło rąk jego,

otrzymał chrzest; kilka kropel święconęj wody, zmieszano się z wodą zaklętego jeziora, słowo kapłana przebiegło przez tłum robotników, i dziwna wnet otucha i nadzieja we wszystkich wstąpiła. W tęże samęj chwili, szczególném zdarzeniem, opoka w kanale rozpada się, góra wody niknie, i w oka mgnieniu cała wstęga wody płynie równo, wspaniale, potoczysto. Lud odetchnął, spojrzał na krzyż poświęcony, wymówił modlitwę, spojrzał potem na jezioro i był pewnym, że potęga czarta stargana; bo czart, w walce z wodą święconą i słowem kapłana, upaść musi.

Oto pierwszy obraz, któremu dodałem jaknajmniej własnej barwy, aby przedstawiwszy wszystko tak jak było, dać wam jednę czystą nutę wiary naszego ludu.

Alem ja powziął zamiar zuchwały, bo wkraść się myślałem w samo serce ludu, bo razem z nim chciałem snuć do końca zaczęta już powieść.

— Gdzież Strukis się podział? pytałem robotników, badałem starych rybaków; a na moje pytania wszyscy tylko milczeniem odpowiadali. Starcy coś pomrukiwali, że Strukis zakopie się w pozostałym mule i wiecznie tu straszyć będzie; młodszy patrzyli na starych, śledzili uciekającą wodę z jeziora i myśleli o nadchodzącej nocy, w której dla nich, dla przyszłości tego miejsca, dla księcia przeklętego, wszystko się rozwiązać miało.

Postanowiłem kilka godzin nocy przepędzić nad jeziorem, zdala od namiotów, od całej ludności, i do tęg wycieczki zacząłem zbierać ochotników. Śmiech ogólny towarzyszył mym junackim zamysłom, i za ledwie serdeczną namową i obietnicami przyciągnąłem kilku odważniejszych.

Noc nad tajemniczym jeziorem! straż nad przeklętym zdrajcą! To prawdziwa uczta dla najbujniejszej myśli, to chwila silnych wrażeń, to pokarm dla najniesforniejszej wyobraźni... Jasno było na niebie, ciszę nocną przerywał tylko trzask dopalających się w oddali ognisk. Siedziałem na torfowej ziemi, otulony płaszczem od zimna, oparty o siwy pniak, co wyrzucony z jeziora, bielił się kilkowiekowym polyskiem; dokoła miałem pełno skieletów drzew olbrzymich, które po kilku wiekach kąpania się w wodach jeziora, dziś na wolnym powietrzu świeciły sękami, jak zębem trupa. Jakiś przejmujący dreszcz ciągnął od jeziora, dreszcz nie zimna, ale wrazenia, które nas ogarnia bez wiedzy, bez przygotowania. Wlepiłem wzrok przed siebie, pragnąłem zbudzić i zobaczyć księcia Strukisa, który tylko raz do roku, podczas świętojańskiej nocy, wypływa z koroną na głowie; lecz moi towarzysze innego byli usposobienia, bo strudzeni całodzienną pracą, drzémali, obleczeni bładą jasnością księżyca. Z ciekawością wpatrzyłem się w twarze śpiących i czytałem z nich jakieś poplątane, niewyraźne a ciekawe historie. A było co czytać, bo na tych twarzach, choć martwych pozornie, grało życie, podniesione snem, który, gdyby go wykraść i odlać w słowo, zabrzmiałyby w pieśni bez końca, a piękniejszej nad wszystkie piśmienne utwory... Łódka stała nad brzegiem: wsiąść w nią i wiosłem plusnąć po zaklętej wodzie, było mojem pragnieniem; jednak musiałem tego zaniechać, bojąc się ucieczki towarzyszków.

Noc jasna i cicha nagle stała się ciemną i głośną; niebo złało się ołowiem; od przeciwnych brzegów jeziora woda zaczęła napływać; las nagiął się, bo wichler upornie się przedzielał; woda zaszumiła od dna samego; kilka głośniejszych jęg uderzeń o brzegi było przegrywką do silnej walki; wszystkie wierzchołki drzew czochrały się w pęk jeden, strumienie wody oblały brzegi... i ogromna burza zerwała się na jeziorze.

Wspaniały był obraz tęg chwili! Ciemność zupełna, szum fal jeziora, plusk starych pni wpadających do wody, świst przeciągły wichru — wszystko to tworzyło jakieś złowrogie tło, tajemną zasłonę, po za którą spełniać się coś musiało.

— Taj mataj! Strukis! kilkakrotnie znowu usłyszałem, i moi towarzysze, zerwawszy się z miejsca, z przestachem poczęli się żegnać.

A jednak byli to najodważniejsi z licznie zebranego ludu.

I ja powstałem na nogi, zaśmiałem się jak mogłem i tłumaczyłem im najdobitniej, że to zwyczajna burza, że wszystko przeczekamy; lecz nic nie pomogły moje namowy, bo gdy wody kłębem wpadły do kanału, a łódka stojąca u brzegu odskoczyła ku środkowi jeziora, moi towarzysze, zapomniawszy swych siekiér

i wierzchnich sukman, zrobili spieszny odwrót do namiotów. Wołałem, zaklinałem, lecz nic nie pomogło, a nie znając drogi, musiałem usiąść na dawnym miejscu i sam jeden w posród strasznej burzy, cierpliwie czekać pierwszego brzasku.

Dziwny ten lud, dziwna jego wiara — myślałem sobie — i zdawało mi się że tym bajkom nic a nic wiary nie daje; a jednak głośno to i z przekonaniem wypowiedzieć, głośno się z tego zaśmiać i szyderstwem sponiewierać... nie miałem odwagi, brakło mi śmiałości.

Nad rankiem dopiero jezioro uspokoiło się, wszystko znowu umilkło, a tylko gra ryb wypływających, klekot ptaków czujących opadanie wód, ożywiały powietrzny krajobraz i siedzibę niepokojonego zdrajcy.

Wróciłem w namioty, lecz tu już zastałem skończoną powieść ludową. Patrzcie! Już lud mówił swym językiem wiary, że dziś w nocy Strukis uciekł z jeziora do Niemna, że i dwór cały za nim podążył, a jednak na Azarelisie wiecznie straszyć będzie.

— Kto to widział? zapytuje.

— Myśmy to wszystko widzieli, odpowiadają moi towarzysze; lud cały im wtóruje, za nimi powtarzają starcy i dzieci. Tłumaczę, upewniam że to bajki, wyśmiewam wszystkie urojenia; lecz lud odwraca się od czarnego człowieka i nie wierzy.

Tak więc przybyła nowa powieść ludowa, której narodzeniu się byłem obecny.

* * *

Zaprawdę, i dziś jeszcze lud nasz wielkim jest twórcą, i dziś jeszcze, tak samo jak przed wiekami, modli się, śpiewa, tworzy i w pocie czoła pracuje. A my nieraz, gdy nie możemy znaleźć słów lub dźwięku dla swęj pieśni, tracim odwagę, i będąc w ciemnościach myśli, nie wiemy gdzie szukać natchnienia, nie domyślamy się że lud dać nam może wątek do przesłicznych pieśni, zawsze żywych i silnych, pełnych wiary i tak czystych, że w nie sami twórcy nawet wierzą. Zechciejmy tylko, a ta cała arka narodowej twórczości dla nas przystępną się stanie...

Władysław Maleszewski.

DOŻYNKI W WIELKOPOLSCE.

Kiedy w skutek zmiany stosunków włościańskich wydalono z wiosek znaczną część rolników na wyznaczone im huby, pozmniejszały się przez to osady, zmalała zewnętrzna postać wiosek i smutne zaległo milczenie wielkopolskie sioła; znikła z nich bezpówtrośnie swoboda wspólnego pożycia, hulaszczych zabaw i corocznie odprawianych uroczystości dożynkowych. Odosobnienie to włościan od gromady, z którą składali niegdyś jakby jednę wielką rodzinę, usunięcie ich zupełne z pod opieki dworu, smutne za sobą pociągnęło skutki. Włościanin, zamieszkały na swoim kawałku ziemi, na pół mili lub więcej od dawnęj wioski oddalonym, oderwał się od towarzystwa, odgrodził się miedzą od sąsiada, stał się samolubem, znieawidził tego, który lepiej lub gorzej od niego gospodaruje, który mu przypadkiem lub umyślnie w zasiewach i ogrodach wyrządza szkodę, ztąd powstały kłótnie, processa, a często nawet zobopólny upadek materyalnego bytu.

Lecz pod względem moralnym i cywilizacyjnym większą jeszcze lud wielkopolski poniósł klęskę. Brak wspólnego z sobą przestawiania, wpływ obojętnych, obcych żywiołów, słowem oddalenie włościanina od reszty wioskowych mieszkańców, stały się powodem zaniedbania przez niego dawnych obyczajów, lekceważenia świąt i ustaw kościelnych, zapomnienia legend i podań ojczystych, zwyczajów od wieków uświęconych, zgoła wzbudziły w nim pogardę ku biédniejszemu, nieusznanowanie dla starszych, wywołały nienawiść i nieufność ku dworowi, a zatarły prostotę i miłość chrześcijańską. Ztąd owo rozprężenie obyczajów, ów upadek moralny i materyalny, jaki się w wioskach rozkolonizowanych miejscami objawia.

Dopóki mieszkańcy wiosek byli z sobą zespoleni, dopóki nad nimi czuwał dwór i gminna władza, dopóty trwał w nich węzeł patryarchalnej zgody i miłości, utrzymywały się wzajemne stosunki; w razie zaś jakiego nieporozumienia, potępiła winnych najprzód opinia ogółu, a w końcu występował dwór, jako ostateczny sędzia pokoju, godził zwaśnione strony, kar-

(Ob. Dodatek.)

GOSPODARZ-POETA.

(Według pomysłu L. Kunickiego, rysował F. Kostrzewski.)

(Dokończenie.)



Nr. 6.

Poeta do północy zwykle rozmawia z księżycem i gwiazdami przy strumieniu, a nazajutrz spi do południa.



Nr. 7.

Poeta, przypatrując się picieniu, uznaje że stosownymi byłyby do tej pracy stoleczki, rękawiczki i kapelusze od słońca.



Nr. 8.

W czasie siewu, poeta używa całej siły robocizny do stawiania chińskich altan i kijosków w swym ogrodzie.



Nr. 9.

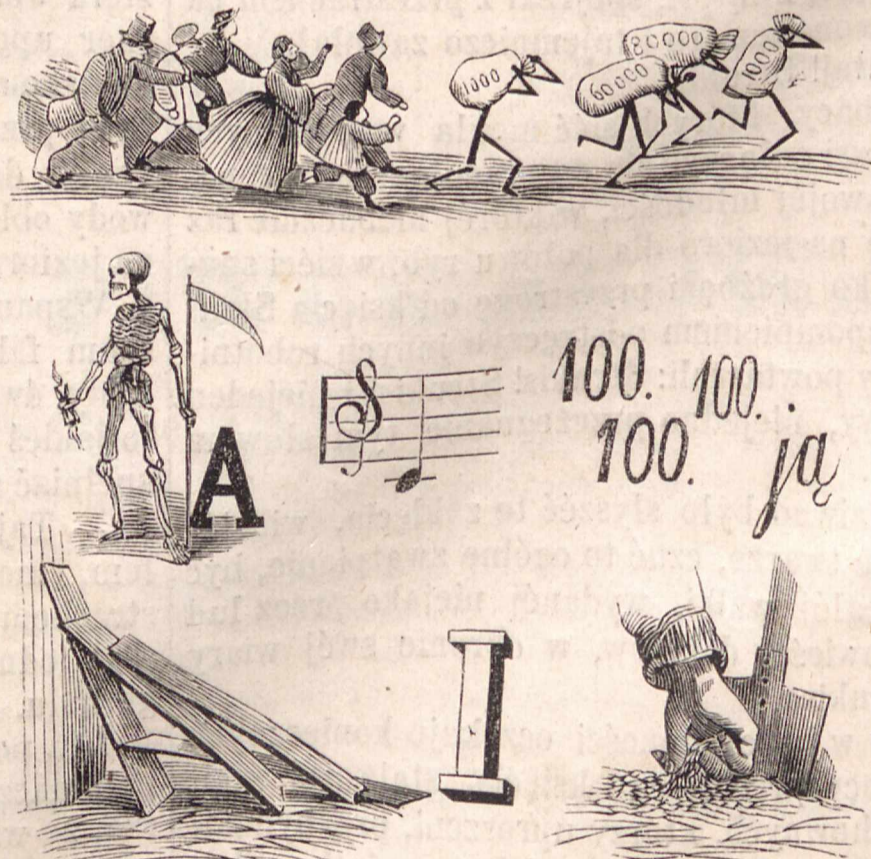
Szmul, dobry Żyd (choć nieublagany gdy idzie o oddanie na termin tego co komu pożyczył), ma jednak wielką tę wadę, że nie lubi poezji.



Nr. 10.

Poeta bawi komornika czytaniem swych utworów.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 51.
Sam pan, sam sługa.

(Dodatek.)

cił niesfornych, wynagradzał krzywdy, wspierał podupadłych. Dziś do kogóż się wielkopolski wieśniak uda po radę? Sam do siebie, lub do zwierchności, bo dwór, nie mając żadnych z włościaninem stosunków, mało lub wcale nie troszczy się o niego, a często nawet nie zna nazwiska, tém mniej majątkowego położenia rozproszonych po hubach kolonistów.

Przez oddalenie się od towarzystwa innych współbraci, stracił wieśniak na humorze, ogołocił się z uroku poezji, wypływającej z przechowywania rodzinnych podań, pieśni, zwyczajów i zabobonów, które niepowtarzane odtąd w liczniejszych zebraniach, z dnia na dzień w coraz większe idą zapomnienie; a lud, przywykły do objawiania głośno i gromadnie swych uczuć i prostaczych myśli, przestając odtąd sam z sobą, coraz bardziej obojętnie na wszystko co go otacza, jak ów pień, któremu odcięto ożywiające go i strojne liściem konary.

Ale pomijając smutne te uwagi, nie wszędzie jeszcze, bo tylko po części we włościach przez cudzoziemców nabytych będące rzeczywistością, przedstawimy czytelnikowi skromny opis starodawnego obyczaju, który, jak w innych stronach kraju, tak i w Wielkopolsce, mimo różnolitej mieszaniny ubioru, języka i wyobrażeń, na pociechę i jakoby na wynagrodzenie trudów rolnika dotąd się przechowuje, opis *dożynków*.

* * *

Żniwa i zasiewy pokończono, na polach pustki, a w brogach i gumnach pełno obfitych plonów. Jesienne słońce smutniej i rzadziej przyświeca, chłodniejszy wiatr powiał po równinach i letni znój ostygł na czole rolnika. Od samego rana we wsi i we dworze niezwykła krzątanina; roją się w świąteczne stroje ubrani wieśniacy i dążą jakby na kiermasz przed dom zajezdny. Zebrało się nareszcie liczne grono chwackich parobczaków, dorodnych dziewcząt, poważnych gospodarzy rolnych, którzy z własnej chęci pomagali w żniwach dworowi, biędnych zagrodników, matek i dzieci różnej płci i wieku. Stanęli na czele gromady skrzypek i duda, za niemi parobczak i dziewczoja z uwitemi ze wszystkich gatunków zboża i jarzyn wieńcami; zabrzmiał zadany przez żniwnego przewodnika znakiem marsz tryumfalny i cały orszak z okrzykami radości ruszył ku dworowi.

Pod wystawką staropolskiego dworku, dziedzic, dziedziczka, dzieci pańskie i sproszeni z sąsiedztwa goście oczekują ludowego orszaku. Coraz bliżej słychać okrzyki, coraz głośniej rozlega się sielska muzyka! Nareszcie wtłacza się na dziedziniec gromada ludu, a radości wesele jaśnieje na wszystkich obliczach. Wiejska drużyna podchodzi przede dwór, zdejmując czapki, oddaje ukłon dziedzicom i niedobranym głosem śpiewa pieśń starodawną:

Plon niesiemy, plon,
W jegomości dom!
Oby zboże plonowało,
Dziesięć korey z mendla dało.

Po skończonym śpiewie, wysuwają się z wieńcami parobczak i dziewczoja, oddając je dziedzicom; a przy tej sposobności sielski mówca w imieniu gromady dziękuje za troskliwą opiekę dworu nad włościanami i w końcu przymawia się dowcipnie o zasłużoną za trudy i pracę nagrodę, mającą się składać z beczki piwa i wódki, na co dziedzic życzliwymi słowy odpowiada, spełniając zdrowie pocziwój i pracowitej gromady. Orszak dożynkowy pije także za zdrowie swojego państwa i przyszłych włości dziedziców i rozpoczyna taniec na murawie.

W pierwszej parze wywija na odsiebkę dziedziczka ze żniwnym przodownikiem, w drugiej dziedzic z powabną dziewczoją. Rozgrzeszyli się także goście i poszli w tany. Dopieroż to radość i wesele! Ustawiane na boku beczki piwa i wódki dodają ludowi otuchy, rozwiązują jęzki, i rozpoczyna się w pieśni i w gwąszczce wywnętrzanie wzajemnej miłości. Toć też słychać np. piosenkę o jejności:

Ryczy krówka od podwórza,
Nasza jejność niby róża,
Nasza jejność jak jagoda
I prześlizna jej uroda.

A pochwały oddawane dziedzicom, wynoszenie jego dobroci, rządności i przywiązania do ludu, płyną z ust uszczęśliwionych wieśniaków tak niewymuszenie i szczerze, iż dziwić się należy jak mało jeszcze stosunkowo uznania zyskał ten pocziwy i pracowity

(Dodatek do Nru 52 Tyg. Ilustr.)

lud wiejski u tych, dla których niewolniczo przykuł się do ziemi. Otóż śpiewa on bez pochlebstwa:

Nad naszego jegomości
Niemasz pana w żadnej włości.

A wychwalając dostatki, zbiory, porządek i inwentarz swego dziedzica, tak się wyraża:

U naszego jegomości
Konie prychają,
A u tego sąsiedzkiego
W rowie zdychają.

Ale jak z jednej strony obdarza lud swych panów i ich dzieci, na jakie tylko serca prostacze zdobyć się mogą pochwałami i oddawaniem im wyższości nad sąsiadów, o tyle z drugiej dokucza piosenkami przypatrującemu się z boku ekonomowi, który niekontent stoi opodal. Więc lud wyśmiewa się z jego kwaśnej miny i dając mu różne przytyki, śpiewa:

Nasz ekonom koło śliwki
Goni z batem wiejskie dziewczki.
Nasz ekonom wielki lula,
Kwaśny, gorzki jak cybula.
Ekonomka jak grafina,
Nie chce wódki, ino wina,
Bo jej świnki w pańskim ziarnie
Wykarmione dość udarnie.

Słońce się zniża ku zachodowi, ale lud bawi się, tańczy i hula, bo to jego dziś wolność i uroczystość dożynkowa. Nareszcie ciemny wieczór okrył dziedziniec, orszak przeniósł się do karczmy i tam przeciąga zabawę do rana.

Lecz i w staropolskim dworku niezwykła uciecha. Płoną okna rześnistym światłem, dźwięki muzyki odbijają się w ciszy nocnej, szumi hulaszczy mazur, przydając taktu hołubcem. Bawią się zebrani goście, krząta się uprzejma gospodyni domu, zachęca młodzież do tańca; bo ta uroczystość ludowa stała się zarazem uroczystością dworu, który niczego nie szczędzi, aby uprzyjemnić sobie i gromadzie tę chwilę wzajemnego połączenia się duchem i sercem. F. S.

UWAGI OGÓLNE NAD STANEM MAŁŻEŃSKIM.

WYJĄTEK Z REKOPISU NIEDRUKOWANEGO

„HYGIENA KOBIET I DZIECI“

Dra Gregorowicza.

W rozumieniu higienicznym stan małżeński jest zasadą i podstawą społeczeńskiego życia; przez małżeństwa ród ludzki coraz więcej powinien doskonalić się i rozmnażać, a jak bogactwo materialne jest w ziemi, pracy i rozumie ludzkim, tak bogactwo i potęga duchowa i materialna zarazem są w ludności. Od najdawniejszych też czasów kobieta była ciągłym przedmiotem uczonych badań mędrca, prawodawcy i lekarza. Rozum ludzki wyniósł ją do wysokiej godności w znaczeniu towarzyskim, prawo otoczyło ją silną opieką, a medycyna spieszy z pomocą matce rodzaju ludzkiego. Z tego stanowiska uważana kobieta, powinna od wieku dojrzałości znać już do jakich to celów powołała ją Opatrzność. Żaden wzgląd moralny nie może stanowi małżeńskiemu nadawać innego znaczenia jak to, które przepisała mu sama natura; prawda nie powinna gorszyć ani dziewczicy, ani młodziana. Niech wiedzą zawsze jaki cel jest małżeństwa; moralność swoją drogą niech hamuje rozbudzone żądze; ale widzieć w tém zgorzenie, gdy kto do dziewczicy mówi o małżeństwie i przyszłym jej macierzyństwie, jest to najwyższą niedorzecznością, niezgodną ani ze zdrowym rozsądkiem, ani z zasadami religii. Archanioł, posłannik Boży do Przenajświętszej Dziewicy, nie powiedział: „błogosławion owoc żywota Twego?“ Dlaczego więc matka i ojciec nie mają być dla swojej córki tymi archaniołami ziemskimi? Zgorzenie jest jak chwast: na źle uprawnej roli rozkrzewia się on i buja, ale na dobrej przepada. Otóż wychowanie domowe jest tą uprawną rolą życia; tam zgorzenie nie przyjmuje się, ale trzeba znać się na chwastach, żeby umieć rozróżnić co jest złe, a co dobre. Małżeństwo ze wszystkich kwestyj żywotnych jest najważniejszą, bo wyłącznie ma na celu życie zbiorowe, z razu dwóch, a później wielu istot. Religia i prawodawstwo biorą więc obłudnie pod swą szczególną opiekę, bo stan tak poważny, podniesiony przez pierwszą do godności sakramentalnej, a przez drugie do wysokiego znaczenia towarzyskiego, powinien mieć niewzruszone zasady świętości i bytu, wiary i szczęścia. Podstawą materialną szczęścia tu na ziemi, jest zdrowie. Znajdzie je, kto je przyniósł z so-

bą na świat, traci, kto je wydawał na świecie jak zdawkową monetę. W pierwszym razie zdrowie jest rodzicielską puścizną; w drugim zły sposób życia wadą wychowania domowego, skutkiem zaniedbania najzbawienniejszych przepisów higieny.

Na nieszczęście względ na zdrowie przy zawieraniu małżeństw najczęściej bywa zaniedbywany, a głównie zajmuje byt materialny przyszłego stadła; jakby religii, prawodawstwu i higienie wiele na tém zależało, w jakich wsiach, domach i t. d. mieszkać będą nowożeńcy, jak będą umebłowani lub ubrani przez całe życie i jak się będą bawili na świecie. Niekiedy rodzice nie mają względu na dojrzałość dzieci, jak tego liczne widzimy przykłady szczególnie u starozakonnych; a przecież małżeństwo zawarte z dziewczycą przed wiekiem jej dojrzałości, jest przeciwne prawom natury, która mści się za to na stworzeniu, któremu i tak wielką już wyrządzono krzywdę. Jeżeli Bóg zdarzy potomstwo, zwykle jest ono słabe, jakby niedojrzałe; jeśli zaś silna budowa dziewczicy zasłoni jej niedojrzałość i w kilka lat zostaje matką kilkorga dzieci, zdrowych jak ona sama, to ma już naprzód zapowiedziane, że przed czasem zestarzeje się. Dwie ostateczności spotykają przedwczesnie zamężne dziewczęta, t. j. zbytnia otyłość lub zbytnie schudnięcie; i jedno i drugie jest stanem chorobliwym i niepokojącym, na który medycyna rzadko kiedy zbawienne wynajduje środki. Suchoty, puchlina wtrącają często do grobu niewinne istoty. Z innej znow strony gdy przedwczesnie zamężna dziewczica z każdym dniem więdnie, przeciwnie mąż rozwija się i dojrzewa. Jakie jest wtedy takiego stadła pożyte, to łatwo sobie wyobrazić. Rozwody, separacje, processa, publiczne zgorzenia, oto zatrute owoce niewłaściwego małżeństwa. A kto przyczyną złego? rodzice!

Jeżeli małżeństwo jest sakramentem, niechże najpierw uczone zostanie przez rodziców. Spekulacyja niech zamilknie przed głosem sumienia, a właściwe zrozumienie małżeńskiego stanu niech oczy otworzy rozumowi i rodzicielskiemu uczuciu.

Matka niech oswoja swoją córkę z powołaniem jej na ziemi, z obowiązkami żony i matki; mowa jej niech będzie bez ogródki, jasna i zrozumiała, bo panna w wieku dojrzałości jest już obywatelką; niech zna zawczasu jakie otaczają ją zewsząd niebezpieczeństwa, niech przejmie się tą prawdą, że macierzyństwo jest jej najwyższym powołaniem. Wszystkie więc tajemnice życia małżeńskiego, niech dobra matka odsłania przed nią powoli, nieznacznie, a ta nauka będzie dla córki moralnym jej posagiem.

Do dobrego a rozsądnego ojca należeć będzie wystawienie córce moralnej strony przyszłego jej męża. Mówiąc o mężczyznach w ogólności, niech więcej na ich niekorzyść jak na korzyść przemawia. Niech dziewczica osłucha się, jakie to przymioty istotnie zdołają mężczyzną, co może wróżyć błogość pożyte z nim w stanie małżeńskim, a jakie wady cechują dusze pospolite i są źródłem wszystkich w przyszłości nieszczęść. Niech oboje rodzice nie przestają jej powtarzać, że w zdrowym ciele i dusza zdrowa zamieszkuje, że mąż jej przyszły powinien być zdrow fizycznie i posiadać zdrowy rozum, a z temi skarbami znajdzie się wszystko czego zapagnie na ziemi.

Nigdzie może łatwiej jak u nas podnosić uczucie i rozum młodzieży, bogłąwą cechą szczepu polskiego w szczególności, a słowiańskiego w ogólności, jest *miłość* i *wiara*; co Francuz widzi przez pryzmat honoru i rozumu, to Polak odgaduje sercem i wiarą; honor też francuzki w massie całego narodu tylko odbija się wydatniej, ale w szczegółach jest wzmówionym, a rozum, niewkorzeniony w posady wiary, czasowo tylko błyszczy, często razi swym blaskiem, ale rzadko podnosi ducha do tej szczytności, co to naraz budzi uśpione życie, zarówno w jednostkach jak i w społeczności.

Wychowanie zatem młodzieńczego wieku płci obojczy w naszym kraju, zgodnie z przepisami religii, moralności i higieny, nie przedstawia żadnej trudności; ztąd wniosek, że małżeństwa mogą w naszym towarzystwie i powinny być dobre.

Z tego co powiedzieliśmy, któż nie dopatry, że zdrowie jest podstawą szczęścia? Dlatego nie przestajemy radzić rodzicom, aby przed zawieraniem małżeństw, gdy miłość owładnie rozbudzone serca młodzieży, zawczasu żądano zdania światłego lekarza, by oświadczył jak uważa stan zdrowia obojga kochanków. Rada ta niechaj nikogo nie śmieży, bo nie

na żart ją podajemy. Liczne przykłady wyświadczyły, że są choroby dziedziczne, jak: suchoty, skrofuły, raki i t. d. — są nabyte, jak różne choroby skóry; są także co wyradzają się w nowonarodzonych pokoleniach, jak skrofuły, białaczki i inne, a wszystkie prawie na oko niewidoczne.

Nawiasowo wspominamy tylko, że bywają i choroby nałogowe dziedziczne, jak pijaństwo, a jakkolwiek silna wola i rozum znieść mogą zgubną skłonność do trunków, nie podlega jednak żadnej jwątliwości, że głupota, pomięszanie zmysłów i t. p., przechodzą nieraz w spadku z rodziców pijaków na dzieci.

Gra w karty także niekiedy bywa chorobą dziedziczną, najuporczywszą do wyleczenia ze wszystkich chorób chronicznych. Namiętni gracze w karty, uważani być powinni w towarzystwie gorzej nawet jak trutnie w ulach; choroby też serca, aneuryzmy, hypokondrya i inne zwykłą są nagrodą szulerskiego życia.

Moralny wpływ męża na żonę. Dziewica, choćby najstarszą w domu *edukowaną*, wychodząc za mąż nie ma jeszcze ukończonego wychowania; w stanie małżeńskim dopiero, pod kierunkiem rozumnego męża i otaczających ją okoliczności, wiedza jej rozjaśnia się. Z domu rodzicielskiego wyniosła dziewczyna z sobą zamiłowanie porządku i gospodarności; w domu własnym zostaje naraz panią tego wszystkiego, na co zwykle patrzyła tylko pod opiekuńczym okiem matki i do czego skrycie wzdychała. Ta nagła zmiana jest dla niej tak obcą, że w pierwszych tygodniach małżeńskiego pożycia zawsze się jej zdaje, że jest gościem we własnym domu. Do męża więc należy, w zamian za miłość i poświęcenie się żony dla niego, umieć w niej poruszyć tę anielską ciszę, aby ze świata marzeń, uniesień i tęsknoty, wprowadzić ją w świat rzeczywisty pracy i rozumu.

Widzimy już tedy nowozamężną kobietę w całym rozwoju skrętności około domowego dobra. Dom jej, to pieścidełko, wszystko się tam odbywa z ładem i składem, pani domu jest duszą wszystkiego, bo na każdym miejscu cząstkę swą duszy zostawia. Baczny i rozumny mąż daje uczuć swą towarzyszcę, że dopiero odkąd z nią połączony, oddycha szczęściem prawdziwym, szczęściem domowym. Ona mu wierzy, ścisła go, i odtąd zaczyna go naprawdę kochać i przywiązywać się do domu.

Ale godność małżeńskiego stanu, miłość męża dla żony, rychło stają się w nim szlachetną podniętą wywyższenia swojej towarzyski nad wszystkie kobiety; stara się więc postawić ją tam, gdzie myśli jego sięgają, dokąd duch jego goni. Chciałby w niej każdą iskry talentu w płomień rozżarzyć, każdą nutę uczucia w ocean brzmienia rozlać. Odtąd rozpoczyna się wychowanie moralne żony. Już i czas znalazł się do poświęcenia kilku godzin dziennie na użytek umysłowy, który staje się pokarmem duchowym na całe życie. Ale bo też kobieta obdarzona jest z łaski Opatrzności dziwną łatwością pojmwania lub odgadywania najzawilszych i najwznioślejszych zadań, a wszak przewodnikiem jej na tej drodze jest mąż ukochany! Miłość i rozum, oto cała filozofia domowego kształcenia żony.

Inny sposób ukończenia edukacji nowozamężnej dziewczycy, polega (w przeświadczeniu niektórych) na wyjeździe za granicę. Jest w zwyczaju zaraz po ślubie opuszczać rodzinne gniazdo i przenosić się jaknajprędzej na ziemię obce. Zwyczaj ten najczęściej usprawiedliwiany bywa względami skromności; nie wchodzimy w rozbiór kwestyi, czy to jest źle czy dobrze zrozumiana skromność, ograniczamy się tylko na zrobieniu jednej uwagi ze stanowiska higienicznego, że długie włóczenie się z kąta w kąt, (a zwłaszcza żelaznymi drogami) z nowozamężną kobietą, a może już matką, jest dla jej zdrowia bardzo szkodliwym. Częstość powrotu z takiej improwizowanej podróży sprowadza się pod domową strzechę zaród nieuleczonej choroby i pomału wędnieje kwiat polskiej gleby, aż uschnie, może znowu na obcej ziemi.

Wybór zatem między dwoma temi sposobami wychowania małżeńskiego zostawiamy zdrowemu rozsądkowi żon i mężów.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Dieppe 3 września 1860 r.

Chociaż byłem obecnym w Paryżu w czasie rozda-

wania nagród w konserwatorium, jednakże nie spieszyłem się z korespondencją do Tygodnika Ilustrowanego, a to z tego mianowicie powodu, iż tegoroczny konkurs nie zadowolnił mię wcale. Zdziwił się zapewne, redaktorze, gdy ci powiem że tu, w Paryżu, w tém mieście na które cały świat tak uważnie i ciekawie spogląda, które bywa wyrocznią w wielu wypadkach politycznego, artystycznego i finansowego świata, stronnictwo, intryga i protekcyja wszechwładnie się rozpościerają i kto chce wypłynąć na wierzch w tym rzeczywistym oceanie współzawodnictwa, podsyconym bezustannie falującymi wszelkiego rodzaju uczuć i celów namiętnościami, ten musi oprzeć się na jednej z trzech wymienionych wyżej podstaw, a zarzucając o nie silnie kotwicę własnego interesu, może być dopiero pewnym szczęśliwego powodzenia zamiarów swoich. Ażeby się szeroko nie rozpisywać, powiem tylko, że wszystkie prawie nagrody za śpiew, deklamacyę i muzykę, rozdane były dziewczętom, a wtajemniczeni głębiej w maszyneryę nadającą ruc tej artystycznej budowli, nazwanej konserwatorium paryżkiem, utrzymują że dopóki zarząd jej spoczywać będzie pod niedołącznym kierunkiem dzieciennego prawie Aubera, dopóty pierwsze nagrody nie kto inny, tylko dziewczęta zawsze otrzymywać będą. Łatwo więc sobie wyobrazić, jakiego rodzaju intrygi i zabiegi mają tam miejsce przez rok cały i jakie owoce przynoszą. Kiedy dwa lata temu prosiłem Massarta, jednego z najlepszych skrzypcowych metrów tej instytucyi, znanego nauczyciela Henryka Wieniawskiego, Izydora Lotto i tylu innych niepospolitych młodych skrzypków, ażeby mi raczył dostarczyć ustaw, kodeksu, albo regulaminu, obowiązującego w konserwatorium paryżkiem, odpowiedział mi wzruszając ramionami, że te nie istnieją wcale; że wprawdzie były drukowane ustawy w rozmaitych epokach i zmianach rządu nadawane, ale nikt na takowe nie zważa. Zaledwie jakąś tradycyą, najczęściej osobistej skłonności, profesorowie zwykli się rządzić i taką to samowolności koleją wszystko zdawna idzie. Gdyby dyrektorem tego zakładu był kto inny a nie Auber, może prawny porządek zdołanoby zaprowadzić; ale sławny twórca *Niemiej z Porticy* niczem, oprócz swą stajni (Auber jest wielkim amatorem koni) nie zajmuje się właściwie, konserwatorium nic go prawie nie obchodzi, nie bywa w niem i zaledwie przez swego sekretarza czy pełnomocnika wie co się dzieje. Raz na rok tylko, w czasie rozdawania nagród, raczy osobiście przyzwoać téjże uroczystości. Potrzeba wyznać iż ze strony tego zniewieściałego sybaryty jest to niemałe poświęcenie, słuchać przez kilka dni, kilkunastu koncertów na fortepianie, na skrzypcach i innych instrumentach, wygrywanych przez popisującą się młodzież, tyłuż aryj, deklamacyjnych ustępów i t. p. Są to dla Aubera i innych delegowanych sędziów prawdziwe tortury, i gdyby nie szło im oto, że ta lub tamta protegowana uczennica koniecznie pierwszą nagrodą musi być uhonorowaną, z pewnością zarzekliby się tych zaszczytnych niby obowiązków. Otóż to takim jest ów zakład, którego istnienia inne kraje Francyzazdroszczą, do którego u nas wszyscy radzi natychmiast młodych ludzi wysyłać, skoro jaki taki talent do muzyki w nich znajdują. Przeznaczeniem jego jest same tylko mierności produkować i inaczej być nie może; bo czyż podobna ażeby kilkudziesięciu uczniów w jednej klasie, słuchających dwóch lub kilku nawet lekcyj na tydzień, jednego i tego samego profesora, zwykle obojętnie i z rozrządzeniem swój przedmiot wykładającego, mogło istotnie korzystać? Więc też jeżeli który z uczących się nie jest zupełnie oddany pod opiekę metra, jeżeli u niego prywatnie lekcyj nie bierze, nigdy nie dojdzie do stopnia pożądanego ukształcenia, nigdy na prawdziwie dobrego artystę nie wyjdzie. Takim to a nie innym sposobem Wieniawscy, Lotto, Telesiński, doszli w Paryżu do tej w sztuce doskonałości. Gdyby nie szczególna opieka nauczycieli, którzy widząc w nich niepospolity talent, dokładali wszelkich starań ażeby w pośród mnóstwa uczni postawić ich na stopniu pierwszeństwa, a sobie tym sposobem uczynić rozgłos doskonałych w nauce przewodników, z pewnością usiłowania tych młodych ludzi pozostawionych własnym siłom, nie przyniosłyby w sztuce wielkich owoców. W roku bieżącym, dwóch naszych rodaków przypuszczonych było do konkursu skrzypcowego: Telesiński, o którym wyżej już wspominałem, i młody Jakub Niedzielski. Pierwszy, uczeń

Alarda, kilka już lat siedzi tu w Paryżu, dwa lata temu konkurował do pierwszej nagrody, ale pomimo przychylniej dla siebie opinii ogółu słuchaczy, nie otrzymał; jej dano mu drugą, z warunkiem że jeszcze w r. 1860 będzie miał prawo starać się o nią. Lecz ponieważ władza konserwatorium, za szczególną opieką Aubera, postanowiła obecnie płci pięknej w każdym razie zostawiać pierwszeństwo, co zresztą w kraju tak słynnym z galanteryi nikogo tak dalece dziwić nie powinno, ziomek nasz, pewny już prawie kosztowania słodkiego owocu *premier-priz*, musiał poprzestać na oklaskach zgromadzonej na konkursie publiczności, która choć tym sposobem zaprotestowała przeciwko stronnictwu wyrokowi sędziów. Telesiński utracił już prawo starania się na przyszłość o nagrodę konserwatorium; Niedzielski zaś, uczeń Massarta, przedstawiony do drugiej, takiemu samemu uległ losowi, tylko że przed nim przyszłość jeszcze została. Z czasem, gdy większą bezstronnością przełożeni tego instytutu rządzą się w podobnych wypadkach zechcą, młody Niedzielski może otrzymać pierwszą nawet nagrodę, jeżeli talent swój wytrwałą i potężną pracą posiłkować zechce.

O innych uczniach Polakach w konserwatorium nic ci na ten raz, szanowny redaktorze, nie piszę, bo prawdę powiedziawszy, pisać nie warto; widać że nie muszą posiadać nadzwyczajnego talentu, bo w takim razie Massart albo Alard natychmiast wzięliby ich pod swoją bezpośrednią opiekę. Nie ich więc wina że tylko czas tracą napróżno w Paryżu, mówię napróżno, bo przy pewnych zdolnościach do muzyki, jakie może posiadają, nierównie więcej i prędzej nauczyliby się czegoś we własnym kraju, z którego ich, pełni wiary w ich przyszłe kapłaństwo w sztuce, rodzice albo opiekunowie niebacznie wydalili.

Wiadomo ci, redaktorze, iż panna Lewkowiczówna, co swym pięknym głosem tyle przed kilką laty w Warszawie nadziei wzbudziła, przybywszy do Paryża po naukę dopani Viardot Garcia, wyszła wkrótce za mąż i dzisiaj zapewne czém inném jest zajęta, niżeli zdobywaniem laurów w nadobnych muz świątyni. Druga uczennica téjże znakomitej artystki, panna Krysińska, w zeszłym roku tutaj z Warszawy przybyła, pracuje wciąż nad swoim ukształceniem i może z czasem będziemy się mogli nią jako dobrą śpiewaczką pochłubić.

Radbym jeszcze coś donieść czytelnikom Tygodnika o teatrach paryżkich, a mianowicie o operze francuzkiej, ale niewiele na ten raz posiadam materiałów; zresztą zbyt krótko bawiłem w Paryżu udając się do Dieppe, gdzie od trzech tygodni siedzę, podziwiając deszczową wytrwałość atmosfery, która w tym roku sprzyśnięta się widać na utrapienie ludzi. Z Polaków niema teraz nikogo w Dieppe.

Wyjątek z listu do..... w Warszawie.

ze Lwowa.

Więcej o czémże opowiadać tobie? Bawiłem krótko, nie mogłem rozpatrzeć się we wszystkiém dostatecznie. Tekę moję z bogaciłem, będziesz miał co oglądać. Żałuję że spóźniłem się na wystawę obrazów; miała być zajmująca a zarazem nauczająca, bo zestawiała arcydzieła mistrzów z 16 i 17 wieku, z niearcydziełami artystów tegoczesnych. Udzielono mi katalog tej wystawy; obejmuje 835 obrazów, między temi przeszło 200 obcego pędzla. Z naszych malarzy byli reprezentowani: Rodakowski, Raczynski, Szlegel, Suchodolski, Pilatti, Orłowski, Leopolski, Drdacki, Białoskórski, pani Rajska, Wielowiejska, panna Fredro, Smokowski, Głowaccy, Szuppe, Dzbański, Luczyński, Kraszewski, Kogen, Kulesza, Kapliński, Sypniewski, Löffler, Grodker, Tepa, Reichan, Michałowski, Smuglewicz, Lang, Kurowski, Maszkowscy, Boratyński, ks. Czartoryska, Bacciarelli, hr. Turkullowa, Janusz i Gerson. W tym poczcie braci artystów napotykam nazwiska nam Warszawianom nieznanne wcale, jak np. Drdacki, Fredrówna, p. Turkullowa, Wielowiejska, Janusz i t. p. Pierwszy jest biegłym pejzażystą, druga zjednała już sobie sławę z wystaw krakowskich i jest godną uczennicą Rodakowskiego, którego obrazy, jakoteż prace Löfflera, miały być ozdobą wystawy. Miała i Warszawa godnych reprezentantów, jak mnie o tém zapewniano. Na wystawie znajdował się także stolik, roboty Dom. Oesterreicher, malarza nadwornego króla Stan. Augusta. Mozai-

ka chińska, złożona z perłowej macicy, złota, srebra i miedzi, przedstawiała różne sceny z życia Chińczyków; cały wierzch stołu, jako i jego boki i cztery trójkątne nogi, mozaikowane w najodborniejszym rysunku, a całość obrazów ujęta była w arabeski. Z drukowanego opisu dowiaduję się, że artysta pracował nad dziełem tym lat trzynastcie, że podobny stolik jego roboty jest w *Lazienkach* i że cenil sobie owo arcydzieło sztuki i cierpliwości na tysiąc dukatów. Szkoda że fotografia nie upamiętniła wystawy zebraniem albumu z dzieł wytworniejszych. Są tu dość zręczni fotografowie: *Golebiowski* (niegdyś zdolny artysta sceniczny), *Stahl*, *Szajnok*, ostatni ma nawet ładne album widoków galicyjskich w fotografiach; żaden jednak nie zdobył się na album. Gdyby tu był nasz *Beyer*, byłyby i obrazki albumowe.

Rozpowiadano mi o mającej nastąpić w zimie wystawie archeologicznej. *L. Rzewuski* który w pobliżu w Podhorcach ma obfity zbiór pamiątek przeszłości, mianowicie w ryzsztunkach i obrazach, nie odmówił współudziału. Radbym aby okoliczności dozwoliły mi na czas tej wystawy zajrzeć powtórnie do Lwowa, uposażyłbym tekę moję; radbym spotkać się tam z *Beyerem* i z *Lepkowskim*: pierwszy ująłby całą wystawę w album, drugi urządziłby ją mógł i opisałby zebrane zabytki starożytności.

Niezły także pomysł miano w związaniu wystawy prac czeladzi rzemieślniczej, która niebawem ma nastąpić. Takie wystawy zachęcają do pracy, zachęcają do usilności w utworzeniu dzieła nie rzemieślniczego, bezmyślnego, lecz wykończonego i w swoim rodzaju artystycznego. Podniesienie moralności i zamiłowania pracy w klasie rzemieślniczej, zawdzięczają tutaj sławnemu kaznodziei *ks. Zygm. Odelgiewiczowi*. On to związał stowarzyszenie czeladzi, on jest ich nauczycielem i przewodnikiem, a nawet następcząc im rozrywki, (napisał komedię którą grali) nie zapomina o głównym celu. *Odelgiewicz*, jako kaznodzieja, uchodzi tutaj za godnego następcę *ks. Antoniewicza*.

Spotkałem się w drodze z redaktorem *Czytelni dla młodzieży*, *Karolem Cieszewskim*, z którym poznałem się bliżej. Jechał on do Grefenberga, zaś na miejscu zeszedłem się najniespodziewaniej z *Gersonem*, który przybył równocześnie ze mną i zapewne okoliczności dozwolą nam znowu zejść się z sobą. Będzie on wam miał wiele szczegółów do opowiadania, a z teki jego może skorzysta i *Tygodnik*. Nie uprzedzam zdania jego o tutejszych pracowniach malarskich; co do mnie, znalazłem je puste i niezasobne. Nietyle w tym winy artystów, ile tych co nie starają się o rozkrzewianie zamiłowania sztuki i nie troszczą się wcale o talenta w kraju naszym.

Tę obojętność przypisuję zczudoziemszczeniu się warstw wyższych, w których łatwiej o dobrego sportsmę, niżli o znawcę pędzla lub o miłośnika polskiej książki. W tej wyższej warstwie jeden tylko *W. Baworowski* i hr. *Włodz. Dzieduszycki* co zbierają biblioteki i wydają dzieła. Stoją też oni osamotnieni i bez wpływu na nierozumiejące ich grono wyższego towarzystwa. Oglądałem ich biblioteki. U *Baworowskiego* znalazłem przeważającą ilość rękopismów; za to brak dzieł obecnie wychodzących i bibliotekarza, któryby je od razu w system ujmował i spisywał. Jedno i drugie jest potrzebnem, jeżeli biblioteka ma korzyść przynosić. Księgozbiór hr. *Dzieduszyckiego* *Włodz.* mniej obfity w rzadkości bibliograficzne, lubo w nim znajduje się najdawniejszy druk polski nowoodkryty; za to znalazłem dobór nowych dzieł i uprzejmego bibliotekarza p. *Łozińskiego*, który umiejętnie porządkuje zbiór, z zamiarem wydania opisu biblioteki.

Takich zebrani, na którychby spotykać można cały świat umysłowo pracujący, świat artystyczny, nie ma tutaj. Pracownicy herbowni chodzą samopas, nie znając nieherbownych. Ostatnie grono rozpada się znowu na trzy lub cztery gronka, nie harmonizujące ze sobą, a nawet wojujące rozmaita bronią. Byłem na trzech zebraniach literackich: na dwóch spotkałem jedne i też same osoby, a liczba ich nie przechodziła tuzina; na trzecim zebraniu było mniej jeszcze osób, i to całkiem inne, nie mające żadnej styczności z tamtym gronem. Ten brak skupienia się w jedno ognisko ku pracy pospólnej, nie wróży pomyślnie o życiu umysłowem tej prowincyi. Ale być może iż się myślę, kilkodniowy pobyt nie upoważnia mnie do stanowczego rozstrzygnięcia w tej materii.

Za łaskawem pośrednictwem jednego z zacnych literatów, z którym wznowiłem znajomość zawiązaną w Warszawie, udało mi się rozpatrzyć w stosunkach tutejszych literackich. Nie piszę ci o nich, zostawiając osobistej pogadance skreślenie szczegółów; podaję tylko to, co teraz może ci się zdać na co. Wiész że tu powstają coraz nowe redakcyje, nowe pisma, i że wszystkie utrzymują się jako tako. Nie jest to złem, bo obudza się ruch silniejszy i występują nowi pisarze. Rozpowiadano mi o zawiązywaniu się czterech nowych pism. Jedno polityczne, ma wychodzić pod redakcją *Zygm. Kaczkowskiego*, który w połowie września zjeżdża do Lwowa; idzie atolijesz o otrzymanie koncessyi. Drugie pismo polityczne, które ma wydawać *L. Skrzyński*, również oczekuje na uzyskanie koncessyi. *J. Nik. Wilczek* zapowiedział pismo miesięczne poszytowe p. n. *Album powszechne*, przeznaczone literaturze, a głównie naukom przyrodniczym i astronomii. Do tego doliczyć trzeba pismo homeopatyczne, które lekarze *K. B.* i *S.* zawiązują. Wychodzą już: *Czytelnia dla młodzieży*, *Dzwonek* (dla ludu), *Przyjaciel domowy* ilustrowany (dla oficyalistów i szlachty drobniejszej), *Dziennik literacki*, *Kółko rodzinne*, *Przegląd powszechny*, *Gazeta lwowska* z dodatkiem tygodniowym, poświęconym statystyce i bibliografii galicyjskiej; nie dostaje zatem tylko pisma prawniczego, którego niema w całej polskiej literaturze, a łatwo byłoby je zawiązać i utrzymać, mając ekonomistów i prawników jakimi są: *Maciejowscy*, *Hubowie*, *Dutkiewicz*, *Heylmann*, *Burzyński*, *Cukrowicz*, *Helcel*, *Skarbek*, *Budziński*, *Zielonacki*, *Koczorowski*, *Supiński*, *Wolowski*, *Zubelewicz*, *F. Zieliński*, *Krzeczunowicz*, *Zawadzki St.*, *Dunajewski*, *Kojsiewicz*, książkę *T. Lubomirski*, *Kłodziński*, *L. Rzewuski*, *Skorupka*, *Kupiszewski*, *Aleks. Mickiewicz* i inni. Nie myśl że ci spisuję tę listę z pamięci; połowy nazwisk nie znam, ale przepisałem je z notatki osoby, z którą arcyważnie rozprawałem o potrzebie takiego pisma.

Przegląd powszechny jest dość lubiony, pisze śmiało i ostro, nie dostaje mu tylko dobrego felietonu. *Dziennik literacki* umieszczał z ręcznie kręślone *Portrety nie Vandyka*, chłosczące wady społeczeństwa, rozpoczął zaś umieszczać coś podobnego pod nazwą *Fotografie*. Znać tu już inne pióro i inne cele. Dobrze też bywają w nim obrazki historyczne; za to niema krótkich, treściwych poglądów, niema przeglądów dzieł wychodzących i wiadomości literackich. Jest to ujemna strona *Dziennika*. Sądziłbym że należałoby w tym kierunku dokładać starań, a natomiast zaniechać szermierek o mur graniczny.

Młody, nieznan poeta, *Michał Bałucki* z Krakowa, wystąpił z obszerniejszą sielanką, rzewną, skromną, nieraz ułomną co do formy, ale wróżącą dobrze o talencie autora. Przytaczam kilka wierszy z części drugiej:

Była jesień smutna, jako wdowa,
Wieczór blizki. Drogą do Krakowa
Szedł chłopczyzna jakiś biędny, bosi,
Ciemne oczka miał i ciemne włosy,
A był w brudnej, podartej siermiędze.
Oj, niejedną znać wycierpiał nędzę,
Bo mu liczko zapadło, zbiędniało,
A oczęta łzawe tak nieśmiało
I po niebie i ziemi patrzyły,
Jakby one macochą mu były.
Zkądże idzie? dokąd chłopiec młody?
Nie od szczęścia, nie od dobrej doli,
Bo z powrotem nie tęsknią mu oczy,
Nie za szczęściem, bo idzie powoli.

Tym bezpretensjonalnym a skromnym rytmem toczy się cały poemacik. *Karol Brzozowski* i *Mieczysław Romanowski* zasilali *Dziennik* drobnymi poezijkami. Tygodniowo do *Dziennika* dodawany bywa arkusz pamiętników z końca zeszłego wieku, pióra *J. D. Gąsianowskiego*. O ile z pierwszych dziesięciu arkuszy można wnosić, nie mają one wartości historycznej, mimo iż autor miał stosunki ze wszystkimi owoczesnymi znakomitościami. Styl pamiętników jest ciężki i niepoprawny.

Drugie pismo czasowe, *Kółko rodzinne*, barwy więcej ściśle literackiej, ma dwie stałe rubryki, to jest: *Przegląd pism czasowych* pióra *K. Widmana* i *Rocznice historyczne* pióra *B. Kalickiego*. Natomiast całkiem niedostaje oddziały wiadomości literackich, a krytyka i przegląd dzieł wyszłych występują niezmiernie rzadko. Napotykam tu rozprawy: *Zachariasiewiczza*, *Aleks. Szedlera*, *Delawego*, *J. Supińskiego*

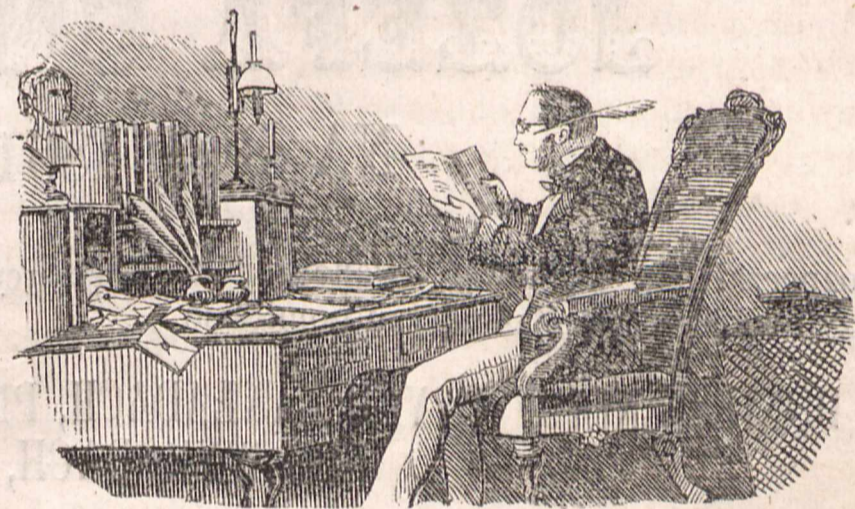
go, *A. Bielowskiego* i innych pisarzy. *Kaczkowski* umieścił w *Kółku* niepospolitą powieść: *Żydowsky*. Tygodniowo dodawane bywają po dwa arkusze powieści *Łozińskiego*: *Czarny Matwij*, opracowanej starannie i znacznie lepszej od poprzednich prac tego autora. Poezji dostarczyli: *Baliński*, *Lenartowicz* i *Fr. Waligórski*; wiersz *Balińskiego* odznacza się siłą jemu właściwą.

Czytelnia dla młodzieży rozwija się w obranym kierunku dosyć starannie, choć niezawsze dobór artykułów odpowiada swemu przeznaczeniu. *B. Kalicki* obrabia wypadki z dziejów przeszłości; *Lucyan Tatomir* umieszcza rozprawy o literaturze; *Wal. Łoziński* podał biografię *Łobeskiego*; *A. Groza* skreślił epoki literatury polskiej; *Józef Szujski* rozwija zarys instytucyj politycznych Polski, a redaktor *Cieszewski* umieszcza powiastki. W dziedzinie literatury można by przystępniejsze znaleźć materiały ku pożytkowi młodzieży. Owe pytania: *Czy wspomina Kadłubek o widowiskach scenicznych u Piastów? Co pisze Nestor o naszym* (na co ten epitet?) *Bolesławie Wielkim?* są zbyt techniczne, bo już dawno rozjaśnione i zbyt drobnostkowe. Pierwszy mianowicie artykuł oparty jest na mylnych podstawach, dlatego że piszący nie wiedział iż *Wójcicki* w swoim *Starożytnym teatrze* (a nie *Wiszniewski*), pierwszy o widowiskach za *Kadłubka* pisał, że potem *Trebicki* w *Bibl. Warsz.* rok 1843 zwalczył twierdzenie *Wójcickiego* i że o tym domówiono w *Dzienniku lit.* z r. 1853. Trzeba pierwój rozpatrzyć się w tém co pisali poprzednicy, aby wiedzieć co pisać i aby nie omylić się w zarzutach.

O teatrze nie mogę ci nic opowiedzieć, bo nie było go za mnie. Artyści zbierali laury w Tarnowie; dnia 10 września mają we Lwowie rozpocząć widowiska znaną sztuką: *Szkoła obmowy*. Między młodymi artystami ma być kilka osób uzdolnionych; mianowicie chwalono mi pannę *Kaczkowską*, o której wiele dobrego miał pisać *Kornel Ujejski*.

Zganiono mi tutejszy repertoar sceniczny, o czém wyczytuje obszerny traktat w *Kółku rodzinnem*, w którym zebrano wykaz kilkuset oryginalnych dzieł scenicznych, napisanych w ostatnich leciech, a niegrywanych po większej części na żadnej scenie. O złym repertoarze można by u nas popisać jeszcze więcej. Powiadano mi że wkrótce ukaże się na scenie lwowskiej nowa komedia *Kacpra Zubowskiego* z Krakowa (*) p. n. *Ciotka swatka*, w której wystawiono charakterystycznie postać kobiety intrygantki. O innych nowościach nateraz nie mogłem się dowiedzieć.

(*) *Kacper Zubowski* wydał poprzednio „*Dwór pański*“ tragedję w trzech aktach wierszem. Poznań 1859.



P. Bolesław z Ukrainy, w czasie tegorocznego pobytu swego w Ciecchocinku, zebrał przedpłatę na osmnaście egzemplarzy dzieła *K. Szajnochy* p. t. *Jadwiga i Jagiello*, i złożył ją w redakcyi *Tygodnika*. Egzemplarze, po wyjściu dzieła, zostaną według adresów rozesłane.

P. F. Ko. z *nad Rosi*. Dziękujemy za łaskawe przyrzeczenie. Do naszego kronikarza tygodniowego pisać można pod adresem redakcyi.

Szanownemu autorowi „*Lelum Polelum*“ donosimy, że znaczenie dwuarkuszowej odezwy jego jest dla nas zupełnie zagadkowym.

P. Michałowi R. w... Wiadomość o starożytniej monecie z napisem runicznym, dla niewielu tylko czytelników mogłaby być ciekawą. Wdzięczni atoli jesteśmy za pamięć o naszym *Tygodniku*.

P. C. w Skalce. Część belletrystyczna naszego pisma w tej chwili zaopatrzoną jest na długo; nie moglibyśmy więc udesłanego utworu tak prędko wydrukować.

P. A. M. w Żytomierzu. Z wierszyka i rysunku, wkrótce zapewne zrobimy użytek.

Pana P. S. w Sieradzu prosimy o doniesienie nam jakich życzy sobie książek za nagrodę, w wartości rs. 3.

Od dnia 25 Września r. b., to jest od przyszłego wtorku, rozpocznie się

LICYTACYA OBRAZÓW IRYCIN

ze zbiorów pozostałych po ś. p. Janie Feliksie Piwarskim, jakoteż rysunków, portretów, książek, wzorów, gipsów, globu, rozlicznych utensyliów artystycznych i różnych dawnych pamiątek; tudzież stolów, foteli, krzeseł, szaf, lamp, zwierciadeł, szafy duże ze szkłami od biblioteki i t. d. Licytacya zacznie się o godzinie 3ej z południa i odbywać się będzie aż do ukończenia sprzedaży, w domu przy ulicy Nowy-Swiat pod nr. 46 (nowym) wprost apteki Koopego, na drugim piętrze.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH
G. Gebethnera i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego.

otrzymała następujące nowości: Pyłki Adama Maliszewicza kop. 75. Miód Kasztelański, komedia kontuszowa w pięciu aktach prozą przez J. I. Kraszewskiego Rs. 1. Słowno z powodu Banków kredytowych ziemskich przez Ignacego Krolla kop. 10. Zbiór wiadomości praktycznych i użytecznych w gospodarstwie wiejskim dokładnie zebranych i wydanych przez Feliksa Racquillera b. oficera kop. 30. Flora okolic Krakowa, czyli wyliczenie roślin w w. ks. krakowskim, oraz w przyległych częściach obwodów wodowickiego i bocheńskiego, jako też w dolinie ojcowskiej dziko rosnących, przez Feliksa Berdau, członka C. K. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego i zoologiczno-botanicznego w Wiedniu Rsr. 2. Zarys Dziejów Literatury Polskiej od czasów najdawniejszych do ostatnich z wiadomością o rodzajach poezji, skreślił Adam Porój Rs. 1. Biblioteka ordynacji Myszkowskiej, zapis Konstantego Swidzińskiego rok 1860 Rs. 6 kop. 75.

Nakładem téż księgarni wyszła Helena Polka, skomponowana na fortepian i ofiarowana dyrektorowi B. Bilse i przez tegoż orkiestrę grywana, przez Józefa Nowakowskiego. Cena kop. 30.

W tych czasach opuściło prasę drukarską w przekładzie polskim dzieło *Sznejdera*, profesora gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Osthofen, pod tytułem: **Gospodarstwo Wiejskie**. Jest to popularny wykład całego rolnictwa, ze wszystkimi naukami pomocniczymi, a tak przystępnie napisany, że każdy z łatwością pojąć może, nawet zawilsze kwestye teoretyczne. Autor do swego wykładu użył formy listowej, i szczęśliwie wyszedł z założenia, nadawszy dziełu w samym sposobie wykładu formę jak najprzystępniejszą, chociaż mówi o najświeższych postępach rolnictwa, na drodze nauki i praktyki. Dzieło to wydane po niemiecku w 1859 r., już przełożone zostało na język francuzki i angielski; obecnie wprzekładzie polskim wyszło nakładem i z polecenia Okręgu Naukowego Warszawskiego, a to w celu aby obok przystępnego wykładu i cena jego była jak najmniejsza, i dlatego téż książka ta, z 600 przeszło stronnic złożona, w pięknym a ekonomicznym wydaniu, kosztuje tylko rs. 1 kop. 50. Skład główny tego dzieła jest w księgarni **Gustawa Gebethnera i Spółki** w Warszawie, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,
w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego
Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała na skład główny dzieło pod tytułem:

Wiazanka miłości ułożona kuczki Najmłodszego Serca Zbawiciela, z trzema rycinami na stali z francuzkiego 16ka. Warszawa 1859. Cena Rsr. 1.

Nakładem téż księgarni wyszło z druku dziełko p. t. **o aktach stanu cywilnego, a w szczególności o terminach do ich sporządzania**, przez J. Wyczewskiego 16ka. Warszawa 1860. Cena kop. 40. Nabyć również można w innych księgarniach tak Warszawskich jak i na prowincyi.

Nowo otworzona Księgarnia

J. J. OKOŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

otrzymała na skład główny
DZIENNIK POLITECHNICZNY

zbiór wiadomości z postępu inżynierii, budownictwa, mechaniki i technologii, wydawany przez B. Marczewskiego Inż. Kom. i W. Marczewskiego Inż. Dr. Żel.—Poszyt 1. 2. lipiec, sierpień rs. 1.—Prenumeratę na cały rok rs. 6, za jeden poszyt kop. 50.

Poszyt 11 dzieła pod tytułem:

NAUKA PRAKTYCZNA JĘZYKA FRANCUZKIEGO ORAZ KONJUGACYI

jako dodatek obejmujący 600 zmienniczych zdań, zapowiedziane w Tygodniku Ilustrowanym nr. 48, są za wykończeniu i mogą być żądane i dostawane we wszystkich urzędach pocztowych po cenie 37 kop., a w Warszawie we wszystkich księgarniach po 30 kop. za jeden poszyt.

NAKŁADEM

Księgarni Polskiej

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł zeszyt 6ty dzieła:

WIZERUNKI

KRÓLÓW i KSIĄŻĄT

panujących w Polsce od Mieczysława Igo
do Stanisława Augusta.

Zebrane i rysowane według autentycznych źródeł przez Al. Lessera w formie o połowę zmniejszonym niż Galeria Królów Polskich. Zeszyt ten obejmuje 4 portrety: 1 Ludwika króla polskiego i węgierskiego, 2 Jadwigi, 3 Władysława Jagiełły, 4 Władysława Warneńczyka. Cena pojedynczego zeszytu 4 portrety obejmującego, złp. 4 (kop. 60), każdy portret oddzielnie złp. 2 (kop. 30). Płacący prenumeratę z góry otrzymują całe dzieło (10 zeszytów a 40 portretów z tekstem), za rsr 5, z przesyłką na prowincyę rsr 6. Po wyjściu całego dzieła, cena jego niezawodnie podwyższoną zostanie na rsr 10. Oddając to tanie a przecie jak najstarszemu wykonanie wizerunków Królów Polskich, za cenę tak umiarkowaną, że tylko bardzo wielka ilość prenumeratów zwrot kosztów zapewnić nam może mieliśmy szczególniej na względzie rozpozszechnienie, naszej większej Galeryi Królów, jedynę może w swoim rodzaju, bo ukazującą się w w. elkiem podobieństwem, jako zebranę ze źródeł najbardziej autentycznych.

Galerya Królów w wielkim formacie, całe 15 zeszytów całkowicie już ukończoną została, kosztuje z kartą tytułową chromolitografowaną przedstawiającą wszystkie herby ziem dawnej Polski, z obszernym tekstem do pierwszych 14 zeszytów, przez Juliana Bartoszewicza rsr. 25. Tekst do 15go zeszytu jest pióra innego autora, egzemplarz w sprawie elegancji kosztuje rsr. 33.

Nakładem téż księgarni wyszło dzieło pod tytułem:

Przewodnik dokładny dla od-widzających święte od wieków cudami słynące miejsce w Obrazie N. P. Maryi na Jasnej Górze w Częstochowie, zebrany przez Józefa Lompe 1860 roku.

Cena złp. 2 (kop. 30); egzemplarz ilustrowany sprzedaje się po złp. 4. (kop. 60); oprawy elegancko złp. 6 gr. 20 (rsr. 1).

Spis rycin edycji ilustrowanej: 1. *Obraz cudowny N. P. Maryi Częstochowskiej*, 2. *Medal wybity na pamiątkę koronacji cudownego Obrazu*, 3. *Pierwszy stan kościoła na Jasnej Górze*, 4. *Klasztor Częstochowski w latach 1620 i 1690*, 5. *Klasztor i twierdza Częstochowska z r. 1813*, 6. *Plan twierdzy Częstochowskiej w r. 1813*, 7. *Kościół i klasztor księży Paulinów w jego teraźniejszym stanie*, 8. *Wizerunek K. Kordeckiego, według społecznego portretu*, 9. *Pomnik K. Kordeckiego, zdjęty na miejscu, rysowany przez L. Piechaczka*.

W Zakładzie artystyczno-litograficznym tejże firmy sprzedaje się portret **Józefa Garibaldeg**o, dyktatora obojga Sycylii, jak najstarszemu wykonany. Cena złp. 3 gr. 10. (kop. 50).

A. Dzwonkowski i spółka.

SYROP OWOCOWY (extrait de fruits)

uśmierający kaszle, chrypki i w ogóle wszelkie kataralne choroby płucowe, znany i powszechnie z wielką wziętością używany, w obecnej porze wyrabiam i sprzedaję takowy w cukierni mej przy ulicy Długiej w Hotelu Polskim. Nie widzą potrzeby zachwalania tego wyrobu, najlepszym dowodem skuteczności smaku i dobroci jego, są proste i z największą czystością skomplikowane nader delikatne części esencji owoców południowych, mających prócz naturalnej i miłej słodyczy, właściwą sobie tylko lekkość, gojącą wszelkie zadrażnienia lub zapalenia krtani i kanałów oddechowych. Tyloletnie zabiegi i usiłowania w udoskonaleniu syropu owocowego dały mi rezultaty najporządniejsze, i dlatego mam to przekonanie, że używając go w razie słabości, ulgę przyniesie dołom, i jak dotąd tak i nadal cieszyć się będą względami Wysokiej Publiczności, o które się z szczerem poświęceniem ubiegam.

SKŁAD GŁÓWNY
FARB I LAKIERÓW

J. A. KRAUSSE

ulica Miodowa Nr. 484, wprost Rządu Gubernjalnego, poleca PP. Artystom i Amatorom malarstwa,

PLUTNO OLEJNE DREZDEŃSKIE

różnych wymiarów,

FARBY OLEJNE drezdeńskie w rurkach **ANGIELSKIE i PARYŻKIE FARBY** miniaturowe w różnych kolorach i wyborowych gatunkach, w pudełkach różnej wielkości.

PĘDZLE LYOŃSKIE i BERLIŃSKIE

do wszelkiego rodzaju malarstwa w rozlicznych gatunkach.

Różnej wielkości i kształtu

FILTRY Z WĘGLA PLASTYCZNEGO,

które u publiczności zyskały powszechnę przyjęcie, powtórnie w znacznym transporcie nadeszły; oraz **GELATYNA STEŻONA** zastępująca klej rybi, do prędkiego klarowania piwa, wódki, wina i innych płynów, nadto:

PROSZEK PERSKI ŚWIEŻY

i do niego bardzo praktyczne

MIESZKI Z GUTAPERCHY

są do sprzedania w tymże Składzie głównym

KALENDARZ POPULARNO-NAUKOWY JÓZEFA UNGRA

NA ROK 1861

rozpoczął się drukować. Panowie Przedsiębiorcy i Fabrykanci, którzyby życzyli sobie w tym Kalendarzu pomieścić

**DONIESIENIA O SWYCH ZAKŁADACH, PRZEDMIOTACH HANDLU,
LUB WYROBACH,**

mogą już nadsyłać je do Drukarni Wydawcy tegoż Kalendarza, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu PP. Wizytek wprost Saskiego Placu pod Nr. 391.

UWIADOMIENIE DLA PP. PIWOWARÓW.

Niżej podpisany ma zaszczyt polecić się pp. piwowarom z różnemi nieznanymi dotąd środkami najlepszego i najpraktyczniejszego wyrobu i zakonserwowania piwa lagrowego, które to ważne tajemnice odstąpi w każdym razie za wynagrodzeniem przy każdym punkcie po szczególe wymienioném.

1. **Nowy krótki i praktyczny sposób warzenia piwa**, gdzie w razie nawet słabego narostu siodu nadzwyczaj klarowne i smaczne piwo się udaje. Wynagrodzenie 10 tal.

2. **Skutecznie działający środek na klarowność piwa**, którego zastosowanie małych wymaga kosztów. Wynagrodzenie 5 tal.

3. **Sposób obchodzenia się z piwem lagrowem**, ażeby takowe w każdej temperatu-

rze przez rok jeden dobrze i bez zepsucia się przechować mogło, do czego nie potrzeba lodowni, zarazem; aby takowe piwo posiadało smak prawdziwego bawarskiego, nie potrzeba do tego żadnych aptecznych środków, tylko stósownego obchodzenia się z niem przy gotowaniu. Wynagrodzenie 15 tal.

4. **Tworzenie piwa dla kobiet**, aparat na 200 kwart kosztuje 3 talary. Przesyłki i prób tegoż piwa skuteczniają się za nadesłaniem 1 talara. Zaleca się ono zwłaszcza dla pp. właścicieli hotelów. Wynagrodzenie 20 tal.

Listy (w każdym języku) i pieniądze uprasza się nadsyłać franco.

Hollack, piwowar w Burkerdorfie, przy Ostritz w Saksonii.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.